

BLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiecy

ROK LXIII

WARSZAWA, DNIA 29 MARCA 1930 ROKU;

NR. 13

TREŚĆ NUMERU: Ćwierćwiecze polskiej szkoły — *Natalja Jastrzębska*. Karjera przesądu — *M. H. Szpyrkówna*. Zawalidroga (c. d.) — powieść — *Herminja Naglerowa*. Trzecia wystawa „Rytu“ — *Stefanja Podhorska-Okolów*. Z życia muzycznego — *P. L. Z teatrów* — *S. P. O.* Kobieta w świecie i w domu. „Lato perkali“ — *Herminja Naglerowa*. Mieszkanie najmniejsze — *Wanda Dobrzańska*. Uprawa warzyw korzeniowych (dok.) — *Zofja Wróblewska*. Nowalijki (dok.) — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dodatek „Nasza Mównica“. Dodatek „Mody i roboty“: Wiosna 1930 roku na ulicy — *Well*. Dodatek powieściowy: „Joanna“ — *Pola Sojowiczynska*. Arkusz wzorów.

ĆWIERĆWIECZE POLSKIEJ SZKOŁY

Ileż to razy, w ciągu długich lat ciężkiego naszego przedwojennego istnienia, ludzie starsi, „umiarkowani“, ostrożni i „rozsądni“ nie szczydzili zarzutów młodzieży! Wtrącała się ona stale jakoby do „nieswoich rzeczy“, wyrwała naprzód poza utarte poglądy i metody działania, „utrudniała“ położenie nieobliczalnymi czynami. Strofowano ją za to, wskazując przykład zagranicy, gdzie politykę i społeczeństwo uprawiali tylko ludzie, którzy opuścili już zakłady naukowe, i naogół potępiano *pajdokrację*, uzurpującą sobie prawo działania, należne jedynie dorosłym.

Nie zastanawiano się nad tem, że w krajach, prowadzących wolne istnienie państwowe, w krajach, których obywatele pracowali w parlamentach, rządzie, stowarzyszeniach politycznych i społecznych, młodzież miała istotnie możność rozwijać siły i przygotowywać się spokojnie do przyszłej pracy obywatelskiej tylko na terenie szkoły i nauki; wszystko, co potrzebne było dla kraju, począwszy od normalnej działalności politycznej i społecznej, aż do rewoltów i rewolucyj, robili dorośli.

Inaczej było zawsze tam, gdzie panowały nie normalne warunki życia narodowego i społecznego. Na początku wieku dziewiętnastego student angielski zapisywał się do stowarzyszenia sportowego, włoski wstępował do Węglarzy, tak jak polski do Filaretów. Były to objawy zupełnie logiczne i naturalne.

Starsze pokolenie, nawyrzekawszy na nieobliczalne wystąpienia młodych, którzy jakoby zawsze psuli niemi sytuację, dochodziło wkońcu do wniosku, że właściwie niewiele można było popsuć tam, gdzie nic dobrego nie istniało. I wtedy przyłączało się do akcji, przez młodzież zapoczątkowanej.

Zadanie polityczne młodzieży ówczesnej było proste i łatwe. Nie istniało ryzyko wprowadzania fermentu i rozdwojenia, popełniania omyłek w stosunku do jakiegokolwiek części społeczeństwa, poniżania jakiegokolwiek ideałów, używania jakiegokolwiek fałszywych haseł, lub marnowania sił w stronniczej, czy bezpłodnej agitacji. Nie było okazji do złej walki, bo walka z wrogiem, ciemnym, zewnętrznym, nie może nigdy być złem. Można w niej stracić najwyżej karierę lub życie — rzeczy w obliczu interesu narodowego mało ważne — nie można nigdy swemu narodowi tą walką zaszkodzić.

Dlatego też linja rozwojowa działalności młodzieży naszej w czasach niewoli była tak prosta, konsekwentna i szlachetna, tak jednolita w decydujących momentach, choć istniał i wówczas podział przekonań politycznych. Podział ten nie zostawiał jednak nigdy miejsca zbyt jaskrawemu konserwatyzmowi, gdyż idea niepodległości zbyt mocno była związana z idea postępu.

Jeżeli jednak we wszystkich poczynaniach niepodległościowych najwydatniejszy udział brała młodzież, to czyn pierwszego, po szeregu lat milczenia, otwartego protestu przeciw Rosji — strajk szkolny 1905 r. — ma w sobie jeszcze jedną cechę, nieznaną dotychczas w historii naszych ruchów niepodległościowych, nie mówiąc już o innych: udział młodzieży szkół średnich.

„Akademy“ występowali wielokrotnie na terenie rewolucji w różnych stronach świata, ale żeby despotycznym rządów potężnego jeszcze wówczas imperjum rzuciły wyzwanie dzieci, uczniacy, dziew-

czynki z „pensji” — tego historia nigdzie nie zanotowała.

„Nie chcemy szkoły rosyjskiej!” — wołali nie politycy, nie rewolucjoniści, ale same dzieci. A na wahające zapytania ostrożnych, czy nie lepsza zła szkoła od żadnej, dzieci odpowiadały: „Chcemy szkoły polskiej”. I tem stwierdziły jeszcze wielką prawdę *możności* tworzenia tego, czego pragniemy: szkoła polska powstała.

Tajne stowarzyszenia młodzieży uniwersyteckiej: Młodzież Postępowo-Niepodległościowa, Organizacja Młodzieży Narodowej, Zarzewie — organizują szkoły średnie, w których tworzą się w klasach starszych odpowiednie tym partjom ugrupowania. Wkrótce powstaje Związek Unarodowienia Szkół; do akcji strajkowej dopomaga pierwsze, naprędce zorganizowane, Koło Wychowawców; we wszystkich zakładach naukowych odbywają się zebrania nauczycieli i rodziców, zarówno w Warszawie, jak na prowincji, zaczynają się wreszcie wiece publiczne.

Zapewne, że sprzyjała temu sytuacja w ówczesnej Rosji, niemniej jednak położenie nie było ani łatwe, ani bezpieczne dla agitatorów. Pamiętamy wszyscy sceny na Placu Teatralnym, w listopadzie 1904 r., po ogłoszeniu przez cara konstytucji. A jednak nie odstraszyły one młodzieży. W tym samym miesiącu odbywa się wielki wiec młodzieży socjalistycznej, w Politechnice warszawskiej, wiec, na którym młodzież rzuca rosyjskiemu kolosowi zapowiedź, że czarnemu jego orłowi „wyrwie szpony” i pierwszy raz publicznie żąda szkoły polskiej.

Akcja znajduje momentalnie oddźwięk i czynne poparcie w szkole średniej: 28 stycznia 1905 r. młodzież szkół rządowych i prywatnych rozpoczyna strajk, przestając chodzić do szkół; 19 lutego tegoż roku odbywa się w sali Muzeum Przemysłu i Rolnictwa wiec rodziców i całego społeczeństwa, na który kurator warszawskiego okręgu szkolnego przybywa poto, aby usłyszeć jeden wielki głos zebranych, śmiało hałasło dnia: „Chcemy szkoły polskiej!”.

W dwa dni potem kuratorjum zamknęło szkoły państwowe, prywatne zaś, tak zwane „z prawami”, t. j. z językiem wykładowym rosyjskim, zawiesiły lekcje same, pod naciskiem młodzieży i nauczycieli.

Młodzież ta stawiała na kartę całą swoją przyszłość: chłopcy ryzykowali służbę wojskową bez praw w armji rosyjskiej, utracenie wstępu do wyższych uczelni; dziewczęta, nie mające wówczas praw żadnych na pensjach, z innym zupełnie programem, niż gimnazja męskie, nie dały się jednak zniechęcić, ani złudzić perswazjami, że szkoły żeńskie żadnego znaczenia nie posiadają, że głos ich nigdzie nie zaważy, stanęły solidarnie razem z kolegami.

Jednocześnie z bojkotem szkoły średniej ogłoszony zostaje bojkot uniwersytetu i politechniki — młodzież polska, od dziesięcioletnich dzieci do studentów, którym brakowało niekiedy pół semestru do

uzyskania dyplomu, znalazła się świadomie i samorzutnie poza znieawidzoną szkołą rosyjską.

Stan ten trwał długo, nawet dla szkolnictwa średniego, dla uczelni uniwersyteckich pozostał aż do wojny. Gdy młodzież gimnazjalna nie wróciła do szkół po wakacjach, rząd rosyjski wydał wreszcie w październiku 1905 r. pozwolenie wprowadzenia języka wykładowego polskiego do szkół prywatnych. Historia Rosji i geografja musiały być nadal wykładane po rosyjsku (naturalnie i język rosyjski), niemniej jednak szkoła była już polską.

Ale była to szkoła prywatna, posyłać dzieci do niej, a nie do gimnazjów rządowych, których programu ani na jotę nie zmieniono, było zadaniem, wymagającym wiele sił i wytrwania.

Przedewszystkiem, po ukończeniu tej szkoły, chłopcy musieli poświęcić jeszcze conajmniej rok na przygotowanie się do egzaminu państwowego, wtedy bowiem tylko uzyskać mogli ulgi w służbie wojskowej; następnie, co najsilniej zaważyć mogło na przyszłych poczynaniach społeczeństwa, szkoła prywatna polska, prywatnymi środkami prowadzona, bez pomocy rządu, musiała być droższa. Wpis wynosił w niej 120—150 rb. rocznie, podczas gdy w gimnazjum rządowym 40—50 rb.

Trzeba więc było pomyśleć o pomocy dla młodzieży. Powstają wtedy, znów siłami społeczeństwa, tego społeczeństwa starszego, które, jak zawsze u nas, młodzież za sobą pociągnęła, instytucje takie, jak Macierz Szkolna i Towarzystwo Wpisów Szkolnych, które dopomagają młodzieży i szkołom.

Jednocześnie, gdy tylko zjawiała się możliwość rozwoju oświaty społecznej, rzucono się z zapalem do kształcenia dorosłych z szerszych warstw ludności: powstają uniwersytety ludowe i uniwersytety dla wszystkich, biblioteki, czytelnie, Stowarzyszenie Kultury Polskiej, którego jedna sekcja, t. zw. V oddział, prowadzi specjalnie działalność oświatową wśród robotników; praca oświatowa wchodzi na szerokie tory, na których jawnie, lub tajnie, w chwili nawrotów rosyjskiego despotyzmu, trwać będzie aż do wojny, a właściwie aż do momentu oddania szkół i uniwersytetów władzom niepodległej Polski.

W tym olbrzymim wysiłku zbiorowym, rozpoczętym przez młodzież i dzieci, uznanym i podtrzymanym potem w ciągu długich lat przez cały naród, siły kobiece odgrywają ważną rolę. Wszystkie nauczycielki, wychowawczynie — tłum bezimienny, wielka liczba wybitnych działaczek, każda z osobna i wszystkie razem położyły niespożyte zasługi dla szkoły i oświaty polskiej.

Młodzież dzisiejsza, rosnąca w swobodzie własnej szkoły, młodzież uniwersytecka, przygotowująca się do życia obywatelskiego w murach polskich szkół wyższych, powinna od czasu do czasu przypomnieć sobie przykłady tamtych, którzy szkoły te wywalczyli.

Natalja Jastrzębska.

M. H. SZPYRKÓWNA

KARJERA PRZESĄDU

W jednym z najpiękniejszych zbiorów mądrości starożytnej, mianowicie w „Złoty” wierszach Pytagorasa, znajduje się między innymi pouczenie następujące:

„...zważ, iż fałsz ma wyznawców równie gorliwych, jak prawda; stąd prawdziwy filozof z rozważą chwali lub gani, i jeśli fałsz jest zwyciężcą, mędrzec się cofa i — czeka!”.

Trzeba myśleć, że i fałsz — nazwijmy go błędem — ma taktykę podobną. Z chwilą, gdy takie czy inne konjunktury polityczne, jak to się modnie mówi, są dla niego niekorzystne — błąd cofa się filozoficznie w cień, ale bynajmniej nie ginie: owszem, wyczekuje cierpliwie, wyglądając, kiedy gorliwcy przesycają się nowopoznaną prawdą i powolutku, naprzód w pojedynkę, a potem masowo, zaczynają powracać do starego błędu, uważając go przeciwnie za nowoodkrytą prawdę.

Szczególne pole do tych odplywów i przypliwów nagminnych dają wszelkie władze, jeszcze nieuchwycone naukowo w karby, a tem samem dające się komentować dowolnie: jak komu serce dyktuje.

I gdybyż to — serce! Wtedy możnaby żyć spokojnie: serce rzadko zwodzi. Natomiast dyktuje jego gorsza imitacja — impuls. Nieopanowany odruch, który jeszcze nie przeszedł przez dystylację rozsądku, a już jest naelektryzowany rozpędem instynktu. Nie należy go bynajmniej z sercem utożsamiać, jakkolwiek ma z niem cechy pokrewne, mianowicie: jest przeciwieństwem rozsądku. Ale podczas gdy serce, także będące jego antytezą, ma własny rozum, jak to powszechnie wiadomo — impuls go nie posiada: stąd szkody i przykre zamieszania, przez impulsywne działanie częstokroć wywoływane.

Zabobon umiał się filozoficznie przyczajając przez długie okresy. Był taki okres zwłaszcza wszędzie tam, gdzie z pogaństwa ludzkość się nawracała ku chrystjanizmowi. Bogowie bywali obaleni, a Bóg jedyny dźwigany na ich gruzach w Swym niewidzialnym, ale istotnym majestacie. W Jego ręce ludzkość niejako złożyła mnogie nici powodzeń i niepowodzeń, klęsk i ubłagań, jakie dotąd miały swych specjalistów w szeregu bóstw protekcyjnych: jednych od urodzaju, innych od wyniszczenia wroga: jednych od pomocy sobie, innych — od zaszkodzenia bliźniemu.

I tu już zaszło pierwsze starcie zabobonu z prawdą. Bo złe instynkty zostały, a już nie miały podręcznego bożka, któryby je lansował dalej w przewidzianym kierunku zaświatowym, aż upatrzonemu wroga pokreśliło w odpowiednio zamówiony przez błagalnika sposób. Wprost przeciwnie: nie wolno było już życzyć

źle nawet wrogowi, a w każdym razie nie wolno było — podług zasad wiary chrześcijańskiej — z taką prośbą zwracać się do Boga, ile że jest to wbrew przykazaniu dekalogu o miłości bliźniego i wbrew słowom Modlitwy Pańskiej: „i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom”.

Porachunki osobiste, dotąd w pogaństwie załatwiane za pośrednictwem podejrzanych półbożków, teraz musiały być skierowane wprost do Wielkiej Centrali, która już zajmowała się krzywdą i jej wyrównaniem poza ingerencją człowieka, a człowiek mógł jedynie nisko na ziemi, patrząc ku gwiazdom, za którymi ważyły się jego sprawy, powiedzieć słowa, niedawno mu w oporną duszę przeszczepione, a które i przez dwa tysiące lat nie znalazły sobie całkowicie w nim sprzymierzeńca: — „Bądź wola Twoja!”.

Istotnie! Czegóż na ziemi trudniej jest się wyrzec, niż swojej woli? Można nie mieć bogactwa i szczęścia, zdrowia i powodzenia: ale można ich pragnąć! A oto pokazuje się, że nie: trzeba się zgadzać z tem, co nam wola wyższa zsyła, bo to właśnie jest najkorzystniejsze dla naszych celów ostatecznych, gołem okiem na odcinku jednego życia niewidzialnych. Mało kto zdobywa się na tę najwyższą doskonałość chrześcijańską, jakkolwiek słowa te powtarzamy. A bardzo wielu natomiast, nie umiając się dostosować do tej abnegacji własnowolności pod względem wyszukiwania sobie dróg, tylko z drogami Opatrzności zgodnych — wielu nawraca duchem wstecz, do właściwości pogańskich, i rozgląda się, gdzie są te inne, mniej wymagające, wygodniejsze pomoce, które za przyniesioną ofiarę czyniły to, co człowiekowi w danej chwili dogadzało najbardziej — choćby to było właśnie złamanie nogi jego wrogowi, jak to w swoich cudownych listach lirycznych tak znakomicie sformułował Makuszyński. (Nie pamiętam dokładnie, ale coś w tym guście, że jakaś rozgoryczona Frania czy Mania ze Starego Miasta apeluje do niewiernego kochanka i zaklina go, że niby, wróć, gołąbeczku i radości mego serca, a jeżeli, hyciu jeden, nie wrócisz, to już ja się pomodłę, żeby ci Matka Boska ręce i nogi połamała!...).

Otóż takich pobożnych życzeń, dosłownie, czy w przenośni, i w naszych oświeconych czasach ani trochę nie brakuje. Metody, jakimi przyczajony przez pewien czas fałsz pogaństwa wewnętrznego działa dziś, naturalnie są różne od dawnych, ale przecież — trwa nadal. Zdegrengolował: zamiast bożków, przytula się teraz najczęściej u rozmaitych znachorów i cudowników, których skala jest bardzo rozległa: na wsi będzie to owczarz, który każe zamawiać bołace

zęby gwoździem z trumny niemowlęcia, wyciągniętym po nowiu, czy coś podobnego; a w wielkim mieście — rozmaitemi receptami, mniej lub więcej psychicznymi, zmieszaniem z dietą, oddechami, wpatrywaniem się w (przepraszam!) pępek i chodzeniem na czworakach, dla tem prędszego i skuteczniejszego nawrotu do natury. Wszystko, co było dorobkiem wielotysięcznej tradycji okultystycznej, niegdyś słuszenie zwanej „wiedzą tajemną“ i co niewątpliwie jest skarbnicą wielu, do dziś nieznanych, praw natury i psychofizyki — wszystko to zwulgaryzowało się i zgroszowało na straganach ulicznych wtajemniczeńców, jak Kleopatra, pokazywana w panopticum. I tyleż zachowało z istotnej królewskości swoich prapoczątków. Przypuszczam, że w myśl przytoczonej na początku maksymy Pytagorasa, teraz wiedza tajemna odeszła filozoficznie gdzieś w tajemnicze pieczary niebotycznych Himalajów i — czeka, aż jakiś pomór psychiczny nie zdziesiątkuje jej niepowołanych adeptów, ażeby znowu mogła wyjść na świat ze swoim tysiącwiekowym depozytem nieurzędowej mądrości.

Szczególne zamięszanie wprowadza się w życie, dzięki lansowanym od niejakiego czasu — i co jakiś czas się pojawiającym znowu, jak szarańcza — okólnikom magnetycznym, które właśnie obecnie zasypują Warszawę. Jest to forma nieszkodliwej pozornie psychozy, która jednak bezwarunkowo jest niedopuszczalna, raz — przez swą bezcelowość wewnętrzną, dwa — przez metody, jakimi jest pchana naprzód. Są to metody szantażu psychicznego, obliczone na ludzi, nie mających własnego sądu, lub też zbyt łatwo dających się zasugerować. Oto np. wzór takiego okólnika, ostatnio przezemnie w dużych ilościach odbieranego, a, sądząc z głosów prasy, i przez wiele innych osób. Rozpatrzmy go, żeby zobaczyć jego nicość.

Łańcuch szczęścia, zdrowia, pomyślności. — Przepisz dziewięciokrotnie (bagatela! i co właściwie należy przepisać? Bo tekstu nawet niema; dawniej modne były umieszczane przytem modlitwy: obecny łańcuch się zmodernizował i każe, jak dalej zobaczymy, przepisywać dziewięciokrotnie poprostu, że taki a taki wygrał na loterji, a Pola Negri zrobiła karierę), to ci przyniesie niezawodne szczęście. Taki a taki (w Ameryce!) wygrał nazajutrz po jego otrzymaniu i przesłaniu dziewięciu najinteligentniejszym (wyraźnie! mimo że inteligencja w danym wypadku — mnie przynajmniej — zaszkodziła, bo powrzucałam do kosza tyle „łańcuchów“, że starczyłoby na kajdanki dla wszystkich naciągaczy). A w żadnym razie nie zerwij łańcucha: bo taki a taki (w Afryce) po zerwaniu go w trzy dni stracił najdroższe dziecko, a innemu zapadł się dóm, tylko dlatego, że zlekceważył sobie dziewięciokrotne (bagatela!) przepisanie i rozesłanie

dziewięciu nieszczęsnym ofiarom swojej znajomości tego czarnoksięskiego łańcucha. Koniec opiewa, że tacy a tacy aktorzy wygrali z jego pomocą wielkie tysiące lirów, a jeżeli (i to jest najcudowniejsze) Pola Negri zrobiła taką karierę filmową, to jedynie zawdzięcza dokładnemu i wiernemu rozpowszechnieniu zaklętego łańcucha! Kropka.

W objaśnieniu dowiadujemy się, że jakiś artylerzysta amerykański dał początek tej znakomitej imprezie i że musi ona trzykrotnie okrążyć świat. Dlaczego trzykrotnie? Wie tylko artylerzysta. Dlaczego należy go wysłać w dwadzieścia cztery godziny po odebraniu, a już ostatecznie w 86? Mrok i tajemnica. Ale najlepsze jest, że... ludzie wierzą, przepisują i wysyłają. Na liście, załączonej do okólnika, znalazłam nazwiska (nie wiem tylko, czy nie sfalszowane), od których widoku pod takim nonsensem mieszałby się nosorożec, tak są niespodziewane. Psychoza płata figle nieprzewidziane. Ale właśnie dlatego, że płata, uważam za stosowne ogłosić swoje osobiste zapatrywanie na ten rodzaj lekkiego opętania, zwłaszcza, że wciąż do mnie ktoś o to pisze i telefonuje. Mianowicie:

1) Nie wolno człowiekowi narzucać poza jego wiedzę i zgodą wykonywania czynności, sprzecznych, być może (jak w moim wypadku), z jego przekonaniem.

2) Nie wolno uprawiać szantażu psychicznego, grożąc, w razie niewypełnienia łańcucha, nieszczęściami i śmiercią, co na słabsze duchem i sugestywniejsze jednostki może istotnie spowodować depresję.

3) Nie wolno ulegać takim okólnikom, rozważwszy, że te dwa punkty *nie mogą* pochodzić ze źródła dobrego, tylko z głupoty i zabobonu, których popierać nie należy.

4) Niepodobna nie spostrzec, że lansowanie za pomocą okólników szczęścia na loterji (której właśnie teraz odbywa się miesięczne ciągnięcie) w trzykrotnej wzmiance na kilku wierszach musi mieć jakiś cel zupełnie inny, niż zyski duchowe, i prawdopodobnie jest zwykłym trickiem reklamowym kantoru loteryjnego.

5) I najważniejsze: że Kościół potępia bezwzględnie zabobony, których taki magnetyczny łańcuch z pogrózkami jest klasycznym przykładem, i osobiście z tego stanowiska nie przyłożyłabym ręki do jego rozpowszechnienia, gdyby nawet nonsensy, jakie go cechują, były mniej widoczne.

Tyle słów ku rozważdze tych, którzy jeszcze sobie sami tej sprawy nie rozważyli dostatecznie, i — na pohybel loteryjno-kinematograficznemu „łańcuchom magnetycznym“!



HERMINJA NAGLEROWA

48)

ZAWALIDROGA

(powieść)

Karciła go tylko nerwowym śmiechem i udawaną pogardą, bo wistocie wsłuchiwała się już w szum swojej krwi, jak w szmer niedostrzeżonej, w drzewa parku wplątanej fontanny. Na chwilę jeszcze przelekła się, że stało się to tak łatwo i prędko, lecz nie mogła już poskromić swojej radości, że jednak, jednak podoba się komuś tak bardzo, że przecież jeszcze dla kogoś tak wiele znaczy. Patrząc na tego młodego i pięknego chłopca, oceniała swój sukces właśnie tą jego młodością i pięknnością.

Janek nie odstępował jej tego wieczoru, zasłaniał sobą wszystkie patrzące oczy, rozśmieszał zazdrością i wzruszał prośbami. Tak zdobywana, choć w rzeczywistości już nie oporna, Zofja była teraz pobłażliwa dla siebie. Gdy wyszli z dancingu, Janek wojowniczo domagał się prawa odwiezienia jej do domu. Lecz i tak nikt inny nie ubiegał się o ten zaszczyt, gdyż role były obsadzone. Janek mógł więc w zamkniętym aucie potęgować żarliwe zapały; a Zofja, nieco otrzeźwiona, musiała teraz bronić swojej niedotykalności i nawet potrafiła już gniewać się za zbyt nie zuchwalstwo. Ale ostatecznie uległy jej ręce przemocy, a w kołnierz futra przyskały natarcywe żądania, jak iskierki na kociej sierści. Wszystko przecież zależało od jej łaski, od jej dobroci, która uśmierzy rozpacz.

— Już zaraz rozpacz! — drwiła i wydawała się sobie młodą dziewczyną, która Nielitościwem słowem maskuje wstyd ciekawości i niemoc wzruszenia. A jednocześnie myślała z odrobiną cynizmu, że coś w tem złego, co złego w pocałunku i w takiej właśnie „rozpaczy“, którą można tak łatwo zaspokoić. Opięta ramieniem Janka, łagodniała dla niego i dla siebie.

W ulicy, mrocznej i wywatowanej świeżo spadłym śniegiem, czekali przed bramą, a głosy ich przyłgnęły do siebie rozpamiętującym szeptem. Więc stało się to już bez sprzeczek, bez oficjalnych sporów, że Janek wszedł za Zofją do bramy. Trzymając Zofję pod rękę, poprowadził ją przez podwórze i na schodach jeszcze jakies ostatnie wymadlał zakłęcia. Gdy przekręciła klucz w drzwiach swojego mieszkania, zdobyła się jednak na ten wysilek i powiedziała Jankowi, że mu dziękuje za wszystko, bo teraz trzeba, aby sobie poszedł. Wiedziała przecież, że jej nie posłucha i już wcale nie pragnęła, żeby był posłuszny.

W przedpokoju ciemność i duszna cisza wparła się na nią, jak senna zmora i tylko cztery prostokąty szyb w drzwiach, prowadzących do pokoju Franka, jak mętne błony, przepuszczały nikle i szare światło. Zofja musiała zatrzymać się na progu i jakaś myśl,

wyskoczywszy nagle, niby płomyk u końca lontu, śpiesząc się, znaczyła swój ślad. Wtedy zdrętwiałymi rękami przytrzymała Janka za progim.

— Już tu dalej nie trzeba, już tu nie trzeba wchodzić! — i przecięła jego protest zatrzaśnięciem drzwi.

Potem, gdy ostrożnie zakładała łańcuch, a klucz zaczął w zamku, szepnęła pocichu, jakby trzeba było siebie przed najgorszym obronić i jeszcze przed czemś najgroźniejszym ocalić: — Przecież tu śpi, przecież tu jest Franek... Ale szczęki, spięte przerażeniem, przytrzymały te wszystkie inne słowa — rozpacz i wstydu.

XLIV.

Tego ranka Franek nie mógł wyrwać się ze snu. Na chwilę otwierał oczy, lecz zmylony ciszą i mrokiem chmurnego dnia, znowu podejmował przerwana treść sennych wydarzeń. Ale krótkie ocknienia i odrobina światła, schwytna żrenicą, zmieniały sens snów. W radosne, łagodne i prawie liryczne marzenia wplątało się już dramatyczne podniecenie i Franek obudził się teraz w lęku przeczuć. Dudnienie froterki w przedpokoju jakby podtrzymało przytomność, więc już inaczej układały się myśli, uspokojone rzeczywistością.

Zaczynał się bieżący dzień i jakaś najważniejsza sprawa, niby chorągiew na wieży, dawała hasło godzinom, które wkraczały na zwodzony most, łączący sen z jawą.

Tą najważniejszą sprawą była wyznaczona na dziś rozmowa z matką. Bo nie miały to być tylko zwierzenia, zaróżowione wzruszeniem i stwierdzone dla siebie samego najlepiej dobranymi wyrazami. Franek zamierzał dziś osiągnąć coś więcej, niż życzliwy uśmiech matki. Wistocie szło przecież o matkę, o włączenie jej do swojego szczęścia, o zagarnięcie jej dla siebie. Nie mógł jej zostawić poza obrębem swojego świata, skoro ciągle była przytomna jego uczuciom, była jego niepokojem i rozdrażniającą troską.

Franek miał obecnie poczucie jakgdyby swojej — zupełności i dlatego właśnie mógł już wymagać, mógł kategorycznie żądać. Wiedział napewno, że dziś jest silniejszy od matki: nie był przecież sam, odkąd go wspomogła Hanka swoją miłością. Zapamiętał sobie niezwykle, uniesieniem, jak świętą przysięgą, uwiarygodnione słowa Hanki! Więc to, co dotąd nigdy nie było całkowicie wypowiedziane, bo on, właśnie on sam cofał się zawsze przed ostateczną rozprawą z matką, dziś nie skryje się tchórzliwie w niedomó-

wieniach. Dziś ją ogłuszy swoim szczęściem, musi ją wreszcie przekonać sobą.

Myśląc tak, roztwierał się, niby szerokoskrzydła brama, i, jak z łupem, uciekał wgłąb serca. Już tu przecież zgromadził wojenne spolia swojego życia: przyjaźń, współczucie i miłość. Bo nic nie zapomniał, niezego się nie wyzbył. Tak, teraz już pojął, że cierpienia, nito sroga i nieugięta straż, czuwały nad trwałością tych wszystkich uczuć. Ale jeszcze mu było za mało tej pewności, że w nim samym mieści się takie bogactwo; chciał je móc dotknąć wzrokiem, jak widomy kształt, słyszeć je, jak szum swojej krwi, mieć je na własność, jak — miłość Hanki. Miłość Hanki była bowiem tem pierwszym wyłącznym posiadaniem, które zaspokajało zachłanność uczuć. I to właśnie powinna pojąć matka, a pojawszy, ocenić wreszcie jego ludzką wartość — także dla siebie samej. Może mu takim samym słowem, słowem Hanki, wyrazi swoje odmienne, a tyleż samo znaczące uczucie? Wtedy będzie jej mógł wybaczyć, będzie już mógł wszystko przeszłe zrozumieć i zapomnieć. Ale odtąd, od tej chwili porozumienia, musi już być z nim, z nimi! Przecież nie wie nawet, jaka jest miłość jej syna i jak się jej objawi w każdej jego myśli, w każdym czynie. Dla niej spełni się to wszystko, co w nim rośnie i ponad niego samego wyrasta, dla jej zdumienia, dla jej radosnego śmiechu, dla tej cichej, wszytkowiedzącej starości, do której matka idzie.

Musiał sobie to, co czuł, uprzytomnić jakimiś słowami, choćby były, jak surowy kamień, chropawe i brzmiały niewłaściwie. Miały dla niego znaczenie runów, które w skrótach mogą pomieścić rozległą treść. I był niemi porwany, uniesiony, jak strofą, wyprzedzającą przeczuciem twórczą świadomość.

Tymczasem szczołki Marty, objijając się o próg, wstrząsały drzwiami, jakgdyby ktoś gwałtowny i niecierpliwy targał klamką. Bo Martę tego ranka, zaspanego przez domowników, roznosiła burza. Miała potem swoje słuszne racje, poczęte jeszcze we wczorajszym rozrzewnieniu. Tak tu sobie przecież rozmawiali z Frankiem, gdy matka odeszła, tak tu sobie rozważali wszelakie sprawy życia. Mówili pięknie o miłości, a rozumnie o krzywdzie, dobierali się do prawd i sprawiedliwości, że musiała zamyślić się nad swoją smutną dolą. Jak łokciem, wymierzyła czas swojego życia i był już za długi, aby domagać się jeszcze czegoś ważnego dla siebie. Przeszłość — to jedna jedyna kruszynka szczęścia, którą rozdziobały potem, nito szare ptaki, pracowite lata. A przyszłość — czarna jama, pełna gadzin, wielorakie złości, dogryzające się do samych trzewi. Bo i komuż ma być rada i dla kogo jej dobroć? Franek trochę tylko swój, bo jakby go tylko pamiętały jej pokurczone i zwiędłe sutki. Kocha go jeszcze, ale tamtego małego żarłoka, tamto, zapamiętane malutkie ciało. Dzisiejszy Franek już

się odgrodził swoim „państwem“, czasem łaskawem, a czasem kapryśnem, swoją uczoną mową, swojemi sprawami. I oto wszystko, co jej zostało: przeciwstawianie się kaprysom, bezustanny opór, żeby jakoś żyć swoją własną wolą.

Więc i teraz, gdy tak „pucowała“ podłogę, aby zetrzeć z niej matowe ślady nóg, musiała docinać pannom od maszyn, które dziś próżnowały w tym zaspanym domu i co chwila z rurkami biegły do gazu w kuchni. Wypominała im wszystkie niezawinione wady, bo chudość i brzydotę, drwiła z tych „kARBÓW, znacznych jak na końskim ogonie“. Aż ją wzmożoną złością poderwał dzwonek z pokoju Zofji.

Weszła chmurna, nieprześlągana miłościwem słowem pani, ani nawet białym dygotem śniegu, który oślepił oczy, gdy podniosła sztorę. Już tu przecież miała swoją robotę wśród nieładu, bo i te pończochy, zwinięte w obwarzanki, i ta śliczna suknia, rzucona bylejak. Nawet okrycie leżało na podłodze, jakgdyby wichrem zerwane i poniesione w kąt pokoju. Marta szakalim wzrokiem dopadła twarzy Zofji, bladej i zmierzowanej.

— Złą miałam noc, Marto. Dopiero nad ranem zasnęłam — powiedziała Zofja i pamięć tej nocy, jak cienista smuga, przesunęła się przed jej oczyma.

— Widać to, widać po pani. — Nibyto stwierdziła litościwie, ale już zaraz należało powiedzieć o pannach, które od rana próżnują i o tem całym gospodarstwie, Bóg wie, jakim, skoro do tej pory nic nie można było zrobić w domu.

Od rozdrażnienia Marty, jakby zwolna cały dom napelniał się irytacją. Frankiem, zgłębiającym jeszcze siebie i swoje sprawy, szarpnęło najpierw klekotanie maszyn, które odrazu ruszyły galopem. Rozsypały się też natrętne dzwonki telefonu, a głos matki, trochę zdyszany, sumitował się z niedotrzymanego terminu i prawie uniżenie przyrzekał, że dziś do wieczora robota będzie gotowa. Wsłuchując się w dźwięk głosu matki, Franek mieszał się, jak uczeń przed egzaminem. Więc już wszystko, co było wiedzą o sobie, wydawało się teraz blahe i nieprzekonywujące.

Gdy potem w pokoju Franka, Zofja, siedząc swoim zwyczajem na brzeżku krzesła, patrzyła na syna, twarz jej była już pogodna i miła, jak do fotografii. Wistocie byłaby jednak wołała nie widzieć dziś syna, byłaby wołała przez ten jeden dzień nie pamiętać o synu. Znadto ściśle przystawały do siebie noc i dzień, i doprawdy, zdalby się jakiś wysoki, ślepy mur, któryby je przegrodził. Ale Franek uparcie dopominał się o przyrzeczoną rozmowę i trzeba było umniejszyć do groteski to, co nocą miało niewymierny ciężar grozy. I dlatego teraz, gdy powinna była odpowiedzieć synowi, z tem swoim zdaniem wkroczyć, nito sędzia, przebrany w togę i biret, sprzeciwiła się powadze, w którą ją tu drapowano.



STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW.

TRZECIA WYSTAWA „RYTU“

Z naszą najdawniejszą kulturą, pierwotnem zdobnictwem i sztuką nierozdzielnie związane jest drzewo. W architekturze, poczynając od gontyn pogańskich, dworzyszcz kneziowych i grodów, zbrojnych tynem ostrokolnym, przez modrzewiowe dworki i kościolki, synagogi i karczmy, aż po dzisiejszą chatę kurpiowską, czy szalas podhalański, skrzętnie inwentaryzowany przez pracowników Państwowego Zakładu Architektury przy Politechnice Warszawskiej.

Drzewo było i jest tworzywem zdobnictwa ludowego, ono stało się podłożem ornamentu, w którym wypowiedziała się fantazja mężczyzny, podobnie, jak w hafcie i tkaninie znajdowała ujście fantazja kobiet. Drzewo było i jest materiałem prymitywnej rzeźby polskiej. Z miękkiego lipowego kłosa pod dłutkiem i kozikiem woskowego snycerza wylaniały się Chrystusy Frasobliwe z naszych kapliczek przydrożnych, świątki kościelne, pasyjki po sosnach leśnych i stacje Męki Pańskiej po cmentarzach.

To samo drzewo, które, jako lipa czarnońska, brzoza mickiewiczowska, czy tetmajerowska limba, było natchnieniem poetów, — żyje po dziś dzień, jako jesion, dąb, czeczotka, lub jawor w naszych odwiecz-



Edmund Bartłomiejczyk: „Martwa natura“.



Edmund Bartłomiejczyk: „Martwa natura“.

nych sprzętach, zrosłych organicznie z polskiem wnętrzem i życiem rodziny polskiej, a współcześnie wywalczyło naszemu meblarstwu czołowe stanowisko na powszechnej wystawie Sztuk Dekoracyjnych w Paryżu. Już wówczas opinia międzynarodowa przyznała jednogłośnie artystom polskim wyjątkowe wprost wyczucie duszy drzewa, jako materiału, wyczucie, którego, nawiasem mówiąc, nie da się osiągnąć jedynie na drodze kultury artystycznej i udoskonalenia rzemiosła, ale które korzeniami swemi tkwi głęboko w podświadomości rasy.

Ta sama „rasowość“ rzuca się w oczy i w drzeworycie. Stosunek artysty do drzewa jest tu jednak nieco odmienny. Mamy tu wprawdzie również do czynienia z pracą w materiale, ale nie bezpośrednio, bowiem ta praca twórcza osiąga swój właściwy cel i efekt dopiero przy zetknięciu z farbą i papierem. Dla laika, dla konsumenta owocem tej pracy materiał nie jest widoczny; pozostaje on w kuchni artystycznej; jako dowód namacalny bezpośredniego zetknięcia się z rylcem artysty, dokument natchnienia, świadectwo świadomego wysiłku indywidualności twórczej. Drzewo w grafice — to materiał trudny, bo zakreślający artyście ograniczoną skalę możliwości,



Stanisław Chrostowski: „Ucieczka do Egiptu”.



Wiktoria Goryńska: „Pieta”.

szlachetny i wdzięczny, bo zmuszający go do szukania dróg po linii największego oporu, do przewycięzania formy, do upraszczania środków wyrazu.

Kto wie, czy na tej drodze polski artyzm nie osiągnie największego zindywidualizowania, czy drzeworyt polski nie stanie się równie swoistą postacią wypowiedania się ducha rasy, jak drzeworyt japoński, sztych angielski, czy akwaforta francuska?

Takie, niewątpliwie śmiałe i daleko idące zapytanie postawić sobie musi każdy miłośnik sztuki rodzimej przy oglądaniu ostatniej, trzeciej z rzędu, wystawy „Rytu” w salonie Garlińskiego. Młoda ta, bo zaledwie cztery lata istniejąca grupa, skupiła artystów o odmiennych nieraz aspiracjach i kierunkach, ale o jednym wspólnym umiłowaniu: grafiki drzewnej. „Ryt” różni się od innych tego rodzaju stowarzyszeń, czy bractw, i nad nimi góruje szybszą przemianą materji artystycznej. To tempo rozwojowe, tak łatwo zrozumiałe, a nawet konieczne u artystów młodych, którzy mają jeszcze przed sobą światy do zdobycia — zdumiewa wprost u mistrzów dojrzałych, którym ten niesłabnący rozpęd artystyczny nie pozwala zakrzepnąć w rutynie, przeciwnie: daje możliwość wydobycia świeżych akcentów z tego zespołu odrębnych wartości, jakie zwykle nazywamy stylem danego artysty.

Zacznijmy nasz przegląd od prof. Edmunda Bartłomiejczyka. Ten znakomity ilustrator i grafik, którego ilustracje do „Popiołów” są plastycznym ekwiwalentem żywego słowa Żeromskiego, a okładki „Bluszczu” są skrętnie kolekcjonowane przez miłośników sztuki rodzimej — tym razem dał nam niesłychanie ciekawe, zarówno pod względem pomysłów,

jak i techniki, próby stylizacji w duchu konstruktywistycznym. Otwierają nam one nowe perspektywy tej bogatej indywidualności, która we wszystkich



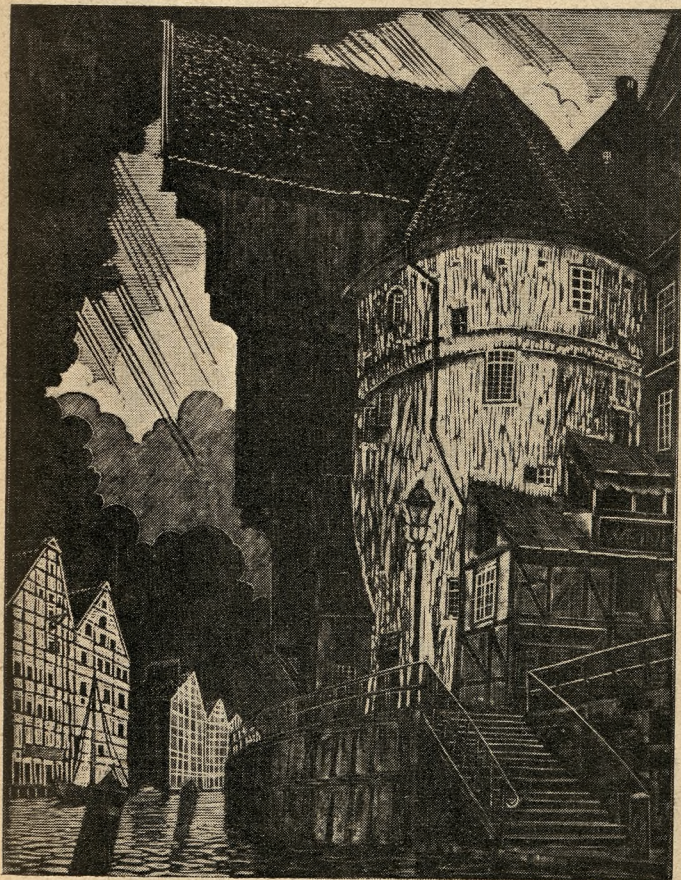
Bogna Krasnodębska: „Czorsztyń”.

swych różnorodnych przejawach trzyma się wiernie pewnego zasadniczego pionu. Pionem tym jest poczucie ładu, harmonji i umiaru, które nadaje każdej jego pracy piętno poniekąd klasyczne.

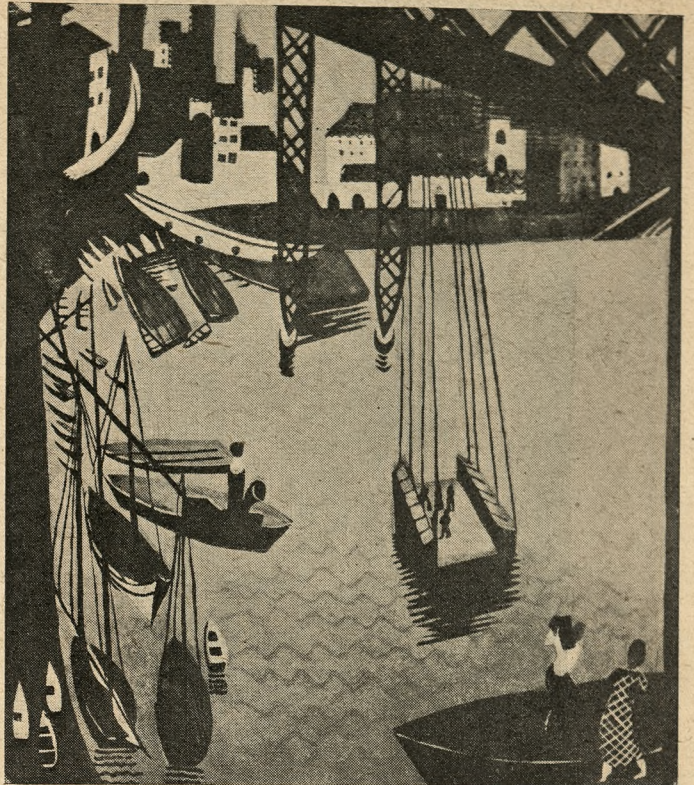
Wewnętrzny rytm wiąże i zespala w jedno poszczególne fragmenty subtelnie kolorowanych „Martwych natur“, jest tchnieniem życia w ex-librisach. Taki np. ex-libris Zygmunta Pierackiego, w przejrzystych symbolach malujący współzycie pięciu zmysłów, sztuki i literatury — to małe arcydzieło finezji w wyrazie, a majstersztyk kompozycji, która w ciasnych ramach ex-librisu pozwoliła artyście zamknąć tyle motywów.

Skoczył pozostał wierny swojej linearnej, nieco ciężkiej, ale mocnej i zwartej technice. Jego „Danae“ jest warjantem znanych nam dobrze dziełówek góralskich. Duże pogłębienie wyrazu przynosi tragiczna maska Beethowena o oczach zamkniętych; umiejętne archaizowanie znać na wizerunku Jana Kochanowskiego, który ze względu na czterechsetną rocznicę urodzin poety niewątpliwie szeroko będzie spopularyzowany.

Wśród prac Chrostowskiego (ciekawe ex-librisy) wielką prostotą, prawie franciszkańskim ubóstwem środków osiąga pełnię wrażenia artystycznego jego „Ucieczka do Egiptu“. Święta Rodzina, osiołek, jak w jasełkach, potraktowane prawie sylwetkowo; tylko



Tadeusz Cieślowski: „Zóraw w Gdańsku“.



Janina Konarska: „Port w Marsylii“.

samotny, kolczasty krzak opuncji każe pamiętać, że to jednak pustynia. Nawiasem mówiąc, ten krzak kompozycyjnie jest doskonałym uzupełnieniem całości.

Tadeusz Cieślowski (syn) dał sumienne, z dużą kulturą potraktowane zaułki Gdańska, Warszawy, Krakowa. Wieje z nich obiektywny pietyzm dla zabytku, w połączeniu z nawskroś osobistym ukośnianiem starych murów, ze swoistym sentymentem architektonicznym.

A teraz — z drogi, panowie! Miejsce dla dam! Wszystkie trzy młode, utalentowane, nad wiek w kunszcie swym dojrzałe. Oto „Pieta“ Goryńskiej, najżałośliwszy moment dramatu Odkupienia, skondensowany wyraz boleści macierzyńskiej. Motyw, tyle razy opracowywany przez mistrzów wszystkich epok, tu ujęty w prostą formę gestu, trafiającego w serce widza. Bezpośredniość tej reakcji artystycznej i uczuciowej ma w sobie coś żywiołowego.

Konarska, która wyspecjalizowała się niejako w prymitywnie stylizowanych legendach o świętych, przerzuciła się do tematów sportowych. Wraz ze zmianą „terenu operacyjnego“ nastąpiła radykalna zmiana techniki, dążność do ekspresji ruchu, do dynamiki formy, wyrażająca się zapomocą śmiałych skrętów perspektywistycznych i uproszczeń technicznych. Przyszłość, i to niedaleka, pokaże, czy droga, obrana przez artystkę, jest zgodna z jej wrodzonymi predyspozycjami.

Wśród drzeworytów Krasnodębskiej zwraca



Edmund Bartłomiejczyk: „Ex-libris“.

uwagę „Czorsztyn“, potraktowany na nieco groteskową modłę starodawnych drzeworytów, gdzie jedno piętrzy się nad drugim aż do nieba. Dużo więcej szczeroci i bezpośredniości ma na niebiesko kolorowany widok z Krzemieńca, opowiedziany już „własnymi słowami“ artystki, pełen romantycznego nastroju, jaki jeszcze znaleźć można w miastach kresowych. Niepodobna też minąć obojętnie „Oracza“ Kulisiewi-



Władysław Skoczylas: „Chaty góralskie“.

cza, „Żmudzi“ Perkowskiego i „Martwych natur“ Podoskiego.

Ilustracje Mrożewskiego („gościa“, nie wchodzącego w skład „Rytu“) do Villona, stanowią odrębną kartę wystawy o wysokiej wartości literackiej i artystycznej. Trzeba mieć bardzo dużo intuicji, ażeby żyć się do tego stopnia z poetą odległych czasów, o tak oryginalnym obliczu; trzeba osiągnąć bardzo wysoki stopień wirtuozostwa technicznego, aby w drzeworycie wywołać tak wyszukane efekty światłocieniowe, tak subtelne stonowanie czerni, że sprawia wrażenie rysunku kredką.

Tyle — o poszczególnych uczestnikach wystawy. A teraz pytanie ogólne: dlaczego poświęciliśmy jej tak dużo miejsca? Dlatego, że jest ona wyrazem ducha czasu, jest zapowiedzią rzeczy nadchodzących. Żyjemy w epoce przełomowej pod każdym względem, a więc i w dziedzinie sztuki. Malarstwo na wielką skalę, malarstwo monumentalne przeżyło się. Dowodem choćby wystawa projektów na malowidła ścienne do sali sejmowej. Wielkimi krokami zbliża się zmierzch malarstwa stalugowego. Portret olejny jest dziś przedmiotem zbytku, na wielkie płótno pejzażowe, czy „historyczne“, zdobyć się mogą tylko instytucje albo ludzie bardzo bogaci; widoczki „nad kanapę“ znajdują coraz mniej nabywców, co świadczyłoby nawet bardzo dodatnio o podniesieniu się poziomu artystycznego naszej burżuazji, gdyby w grę nie wchodziły czynniki natury czysto ekonomicznej.

Nasze nowoczesne oszczędnościowe wnętrza, po-



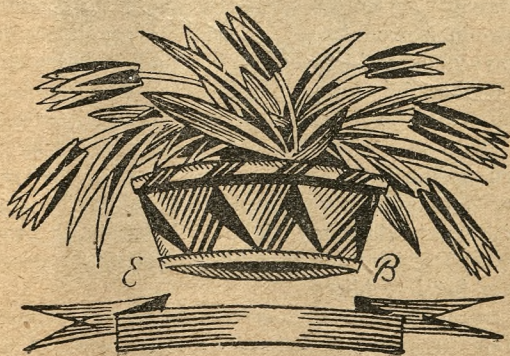
Stanisław Chrostowski: „Ex-libris“.



Stanisław Chrostowski: „Ex-libris“.

zbawione ornamentu, całe swe piękno budujące na prostocie linii, na spokoju bryły, na celowości i harmonji sprzętów — wymagają dziś innej sztuki, niż ułan i dziewczyna, albo krówki o zachodzie słońca, w grubo złożonych ramach. Rodzi się potrzeba sztuki kameralnej, sztuki małych wnętrz, pięknych książek i ludzi ubogich, sztuki demokratycznej zarazem i arystokratycznej w najszlachetniejszym tego słowa znaczeniu. Demokratycznej przez swą dostępność, arystokratycznej przez wysoki poziom i szlachetność techniki. Tym warunkom odpowiada sztuka graficzna: drzeworyt, autolitografia, akwaforta.

Nie każdy może się zdobyć na wydanie kilkuset złotych na obraz olejny, wątpliwej nieraz wartości artystycznej. Ale każdy może sobie kupić oryginalny drzeworyt, dzieło ulubionego mistrza, które tak dobrze mieć zawsze na oku, tak, jak się ma pod ręką ulubioną książkę. A podziwiać monumentalne malarstwo będziemy w muzeach, w świątyniach, w gmachach reprezentacyjnych. Grafika — to sztuka na codzień, to wierny towarzysz i przyjaciel w domu człowieka pracy, człowieka przyszłości.



Z ŻYCIA MUZYCZNEGO

„Boruta“ — balet-opera Witolda Maliszewskiego w Teatrze Wielkim.

Legenda o szlacheckim djable Borucie weszła do opery w niewyszukanej, dowolnej postaci baletu-opery, dającej kompozytorowi szeroką skalę możliwości, a nastęrczającej jednocześnie duże trudności powiązania tekstu operowego ze scenarjuszem ewolucyj choreograficznych, równouprawnionych z partjami śpiewnymi.

Dowolność formy baletu-opery jest zresztą koncesją dla publiczności, usiłowaniem stworzenia czegoś nowego, w formie kompromisowej, dwóch rodzajów muzyki scenicznej, żyjących obok siebie od wieków w największej zgodzie. Niewątpliwie balet-opera może stać się z czasem źródłem bogactwa pomysłów twórczych, jednakże polski debiut tej formy nie rokuje tych nadziei na przyszłość.

Przedewszystkiem, zarówno chaotyczny scenarjusz baletowy, jak i tekst operowy zniżają Borutę do poziomu naiwności, zdolnej zadowolić chyba niewymagające dzieci.

W pierwszym akcie widzimy Borutę w podziemiach zamku łączyckiego, a że historia piekła nie zna czasu i przestrzeni, rewja djabłów wszystkich krajów, odbywa się w tańcach nowoczesnych. Foks-trott, boston, tango, girls'y, lichwiarze, djable białe i czarne, muzyka, światła, pstrokacizna barw, dekoracje i ruch na scenie, — wszystko to staje się wreszcie monotonne i bezgranicznie nudne.

Potem, w drugim akcie, djabeł Rokita wraz z djablicą Ponętą zjawiają się na wsi w celu kuszenia dusz chłopskich do grzechu, podczas gdy Boruta w trzecim akcie stara się o to samo na dworze, obierając sobie dusze szlacheckie za cel djabelskich zakusów.

Te dwa akty są znów rewją polskich tańców ludowych i poloneza. Krakowiak, kujawiak, oberek i tańce góralskie mają strawestowaną najzupełniej linię melodyjną, ujętą w snobistycznie dysonansowe harmonje, oraz hałaśliwą instrumentację, w której trudno dosłuchać się wartości barw, znanych nam z innych utworów świetnego symfonika Maliszewskiego. Trzeci akt jest znacznie spokojniejszy muzycznie, niż drugi, ale muzyka ta ani przez chwilę nie jest interesująca, ani nie wyraża cech indywidualnych kompozytora.

W czwartym akcie — finał: djable, nic nie wskórawszy, zdemaskowane i pobite, uciekają co żywo do czeluści piekiel, a publiczność oddycha z ulgą, że wreszcie skończyła się bezna dziejna gmatwanina taneczna, śpiewna i rewjowa.

Zasadniczym błędem „Boruty“ jest libretto tego baletu-opery. Pozatem muzyka nie ma wyrazu i nie wysila się bynajmniej na ciekawą inwencję twórczą.

Część śpiewna wypadła bardzo słabo. Wraga, jako Boruta, i Janowski, jako Rokita, wywiązali się najlepiej z całego zespołu. Część choreograficzna przedstawia się banalnie i nie jest związana z chaotycznym ruchem na scenie. Orkiestrę monotonna prowadził Rudnicki.

Wszystkie usiłowania złożyły się na „fiasco“ tego przynębiającego przedstawienia.

P. L.



TEATR ATENEUM:

„Turandot, księżniczka chińska” — groteska baśniowa w 5 aktach Karola Gozzi, w przeróbce poetyckiej Emila Zegadłowicza.

„Czy znasz weneckie zapusty?”

Temi słowy możnaby rozpocząć tę śliczną, barwną i zwariowaną groteskę, zamiast sztucznego, do widza polskiego nie mówiącego dialogu czterech wesółków, żywcem przeniesionych z włoskiej „comoedii del arte”.

Bo to nieprawda, że rzecz dzieje się w Chinach, że piękny Kalaf wybiera „śmierć albo Turandot”. Nawet dziecko zrozumie, że te kostjomy, lampjony, lektyki, trony, cyrkowe koziołki królów i ministrów, brody, gubione przez skazańców, a głowy przez niefortunnych zalotników, tortury chińskie i trele słowicze kochanków, cały ten cocktail skłóconego patosu i błazeństwa, — to nie jest rzecz na serjo, to wszystko jest najmilsza w świecie maskarada, rozkoszny włoski karnawał, pijany winem i słońcem wiosennym.

Tak niewątpliwie rozumiał swoją sztukę Gozzi, tworząc ją z myślą o radosnej gawiedzi włoskiej, z jej wrodzonym poczuciem bohaterskiego gestu, z jej instynktem komizmu i żyłką parodji, jaka rodzi się zawsze na podłożu odwiecznej kultury.

Nie znam włoskiego oryginału Turandot, ale mam wrażenie, że Zegadłowicz, zgodnie ze swą naturą zakonspirowanego w prostocie sceptyka artystycznego, starał się przemycić pod tęczową błonką bańki mydlanej gorzkie ziarno refleksji, — niepowołanego i niepożądanego gościa w tem królestwie błogosławionego szaleństwa i nonsensu, jakim powinno być przedstawienie Turandot. Scena, w której jeden z konferencierów del' arte tarza się w tekście, że nad nim, jako aktorem, ciąży przekleństwo wiekiustego przemawiania „cudzem słowami”, myślenia cudzym mózgiem, cierpienia cudzem sercem, — scena samia przez się ciekawa — w takim widowisku, jak Turandot, będącym parodją wszelkiego patosu, razi sztucznością, jest zbędna, a nawet przykra.

Zespół teatralny Ateneum pod sprężystą reżyserją Waldena dokładał wszelkich starań, aby porwać publiczność w wir szaleństwa, co mu się w zupełności udało. Widz śmieje się zdrowym, dzieciannym śmiechem, wychodzi z teatru odświeżony, jak młody psiak, który wyhasał się po łące.

Należy podnieść tu w grze p. Bogusławskiego i p. Perznowskiej trafnie uchwycony ton groteski, do której nie wszyscy wykonawcy zdołali się podejść.

Dekoracje Poredy wyjątkowo udane.

S. P. O.

TEATR LETNI

„Maman do wzięcia” — krotchwila w 3 aktach Adama Grzymały-Siedleckiego. Reżyserja Chaberskiego.

Stanowczo w tym sezonie teatr Letni ma szczęście do sztuk „krajowych”. Po doskonałym i koncertowo granym „Mężu naszej panienci”, pełna temperamentu „Maman do wzięcia” zmobilizowała najlepsze siły miejskiej komedji i farsy i szturmem wzięła publiczność, łaknącą zdrowego, nie zanadto wybrednego humoru.

Ciężar gatunkowy tego rubasznego nieco śmiechu przeważyl szalę powodzenia sztuki, obarczonej jedną wadą organiczną, która tkwi w jej pochodzeniu: jest to sztuka teoretyka, który chciał ją zbudować na pograniczu komedji i farsy. Grzymała-Siedlecki, krytyk, doskonale wie, że osią komedji są typy i środowiska, osią farsy — sytuacje; nie to stanowisko go zawodzi ale ręka, której chwyt nie zawsze są pewne i trafne.

Pomysł wyprowadzenia dwu równoległych nurtów komizmu z dwóch naczelných postaci — trochę anachronistycznego typu „niezrozumianej” kobiety w wieku balzakowskim i nieśmiertelnego typu hreczkosieja-obszarnika, którego pasją są t. zw. wielkie interesy, — ten pomysł jest zasadniczo szczęśliwy, ale niestety, znać na nim, że się urodził przy biurku, nie w żywym kontakcie z rzeczywistością. Tam, gdzie tego kontaktu brak, autor nadrabia szarżę, przerysowuje figury, wyolbrzymiając ich skłonności do rozmiarów manji.

Postacie drugoplanowe: córeczka-hajducek, która po mamusi odziedziczyła temperament, rotmistrz—bohater na polu bitwy, drżący przed laską Heroda-babki, ta sama babka, doskonały typ matrony kresowej, kuzynka-rozwódka — indywidualizm, oscylujące między salonową prostytutką, a szantażem rodzinnym, wreszcie Jupiter, powojenny naciągacz o manierach uroczyściej małpy — są wydobyte z tła grubymi linjami, kolorowane jaskrawą, czasem tandetną farbą. Ten zespół maszkar — to nie kompozycja figuralna: to plakat.

Ciekawą próbę podmalowania środowiska spotykamy w pierwszym akcie. Szczególniej z jego zakończenia, kiedy to o wczesnym wieczorze jesiennym zaczynają się schodzić do salonu na partyjkę szachów domowi rezydenci, wieje autentyczny nastrój dworu kresowego. Ale już tu uderza widza jaskrawa anachronizm. W tym dworze, oprócz zaprowadzenia radja, nic się nie zmieniło od czasów przedwojennych, gorzej, bo od czasów Fredry. Ta sama beztraska, ta sama obfitość zboża i... pieniędzy. Zdumiewający optymizm, czy rozmyslna ślepotą?

Ten szlachcic, który traci pół miliona na wytwórnę filmową, gdzie filmy nakręcano wyzmaczkami, i ani mrugnie, jakby to była jakaś kieszonkowa przegrana w bridża — czy to nie wygląda na niesmaczny żart w momencie, kiedy siedemdziesiąt pięć procent majątków ziemskich wystawionych jest na licytację?

A ziemianki warszawskie, czy nie powinny się obrazić za to, że, według zdania autora, obradują tylko w Oazie? Szkoda, że autor nigdy nie był na żadnym z zebrań Zjednoczonych Ziemianek, możeby tam się nauczył, jak należy bronić interesów klasy, dziś najbardziej zagrożonej w podstawach swej egzystencji.

Praca „w terenie” nie nazbyt się zatem autorowi udało. A rozwój akcji? Zadzierzgnięcie podwójnego węzła komedjowego około przypadkowej zupełnie osi (wydanie zamąż Hajduczka, które dla obojga rodziców jest tylko pretekstem do urzędowania własnych ubocznych planów) naogół jest szczęśliwe, ale w jego rozplątaniu autor wpada w galop farsowy, w polowanie par force na ryzykowne sytuacje, wśród których skręca kark już nie tylko prawda życiowa, ale nawet życiowe prawdopodobieństwo.

Dostajemy się do istnego kotła nonsensu, w którym warzą się pospół z produktami jadalnej koncepcji scenicznej jakieś obierzyny, okrawki, ochłapy i odpadki obserwacji. Uczta nie dla smakoszków humoru, ale dla jego głodomorów i dzięki temu trafia do przekonania niewybrednej dzisiejszej publiczności. Taki np. trick, jak ostateczna rozgrywka w wagonie pociągu pośpiesznego, przenosi widza w atmosferę sketchu rewjowego. Z płaszczyzny komedjowej, na jakiej zbudowany jest pierwszy akt, staczamy się do... kabaretu. I przestajemy wogóle wierzyć w istnienie tych ludzi, którzy na początku zaczęli nam już być bliscy.

Ten zatracający się kontakt z publicznością bohaterskimi wysiłkami podtrzymywali świetni artyści: Cwiklińska, Fertner,

Węgrzyn i Mirska. Ćwiklińska była uroczą „Maman do wzięcia”, zadawała kłam intencjom autora, bowiem wogóle należało się dziwić, iż wszyscy dla niej naprawdę nie potracili głowy. Mirska z Mohyłowiczowej zrobiła jakąś sienkiewiczowską kniahinę, silną w akcentach, trochę przeszarżowaną w rysunku. Węgrzyn dał klasyczny typ rotmistrza-hulaki, którego horyzont nie sięga poza konia, kieliszek i przelotne ulańskie miłości. Fertner w roli kresowego żubra robił „rasę”, jak mógł, nawet przeciągał z litewska.

Wogóle z tym kresowym akcentem trochę było krucho. Horodziejewo leży gdzieś pod Kowlem, stosunki przedstawione w sztuce przypominają raczej Polesie, czy Białoruś, — wszyscy aktorzy starali się „śpiewać”, tylko że jeden śpiewał z wołyńska, drugi z białoruska, trzeci zacinął z lwowska. Zresztą i język oryginału zdradzał nierównomierne opanowanie dżalektu kresowego. Czulo się, że to język z biurka, a nie z puszczy. S. P. O.

KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

PROPAGUJMY NASZĘ LOTNICTWO.

Liga Obr. Powietrznej i Przeciwwgazowej rozwija energiczną akcję w kierunku uświadomienia jaknajszerszych warstw o celach i zadaniach naszego lotnictwa, wciągając do tej akcji bardzo słusznie ogół kobiet. Rozpowszechnianie wiadomości o L. O. P. P. rozpoczęto w szkołach powszechnych i średnich, urządzając wykłady o obronie przeciwwgazowej, a także w licznych stowarzyszeniach kobiecych.

Komitet stołeczny Ligi prowadzi szeroko zakreśloną i wydatną działalność, jak tworzenie modelarni lotniczych, popieranie twórczości technicznej, budowa warsztatów na Okęciu, oraz cywilnej szkoły obrony przeciwwgazowej, szkolenie, kursy i wydawnictwa. Praca ta wymaga wielkich nakładów materialnych, które jednak sownie opłacają się społeczeństwu. To też na sercu każdej kobiety powinna leżeć sprawa rozwoju polskiego lotnictwa i jego propaganda.



Vice Miss Polonia, p. Winkowska, propaguje lotnictwo.

NIE MOŻEMY POZWOLIĆ NA ROZPAJANIE SPOŁECZEŃSTWA.

Jedną z największych trosk kobiet wszystkich krajów jest sprawa walki z klęską alkoholizmu, która w szczególnie dotkliwy sposób daje się we znaki kobiecie, jako częstej ofierze nalogu męczyzny: ojca, męża, syna.

To też we wszystkich krajach, gdzie toczy się walka z klęską alkoholizmu, kobiety idą w pierwszych szeregach walczących, zwłaszcza, na polu ustawodawstwa przeciwalkoholicznego.

Rozrastający się w niepomierne sposoby alkoholizm w Polsce odrodzonej skłonił Sejm i Rząd Rzeczypospolitej w roku 1919 do zajęcia się zagadnieniem walki z alkoholizmem.

Uchwalono więc w r. 1920 ustawę o ograniczeniach w sprzedaży i spożyciu napojów wysokowych, której inicjatorką i referentką była posłanka Marja Moczydłowska. Niestety jednak, prawo to jest wielokrotnie zwalczane i obchodzone.

Obecnie klub posłów niemieckich złożył w Sejmie nowelę, żądającą przeszło dwukrotnego powiększenia liczby koncesyj alkoholowych, nałożenia na skarb konieczności płacenia odszkodowania za koncesje cofnięte na podstawie przepisów ustawy, uznania koncesyj alkoholowych, będących w ręku jednego właściciela ponad lat 10, za nienaruszalne i t. p.

Zreferowania powyższego wniosku na plenum Sejmu podjął się p. poseł Snochowski. Jak się dowiadujemy, referent ze swej strony ma przedstawić szereg dalszych wniosków, mianowicie: mają być zniesione ograniczenia niedzielne i świąteczne, podczas targów i jarmarków, w bufetach kolejowych, w pociągach, na statkach, nawet w koszarach.

Nasza ustawa przeciwalkoholowa, będąca jedną z najlepszych zdobyczy w dziedzinie ustawodawstwa społeczno-moralnego, jest więc znowu narażona na niebezpieczeństwo.

Podobny zamach na ustawę, mającą na celu jedynie i wyłącznie dobro powszechne społeczeństwa, jego zdrowie moralne, tężyznę psychiczną i fizyczną, jego normalny rozwój ekonomiczny, ochronę pracy, ochronę rodziny, powinien wywołać powszechny, najsilniejszy głos protestu.

Przedewszystkiem muszą zaprotestować kobiety polskie, zwłaszcza wszystkie kobiece organizacje i głos ten powinien dotrzeć do naszych ciał ustawodawczych i do Rządu.

W związku z powyższym, Wydział Kobiecy przy Polskim Towarzystwie Walki z alkoholizmem w Warszawie ma zaszczyt zwrócić się do wszystkich polskich organizacji kobiecych z gorącym wezwaniem do wzięcia udziału we wspólnej akcji obrony ustawy.

Głosy i protesty w tej sprawie prosimy nadsyłać pod adresem T-wa „Trzeźwość“ (Żórawia 21 m. 28).

ODSŁONIĘCIE POMNIKA SUFRAŻYSTKI.

W ogrodzie Victoria Tower w Westminsterze odbyło się uroczyste odsłonięcie pomnika Eweliny Pankhurst.

Mglisty dzień marcowy, prawdziwie londyński, nie odstraszył tłumów, które zaległy cały park. Z najbliższej rodziny działaczki obecne były tylko siostra i jedna z córek: pozostałe dwie znajdują się po za granicami Anglii. W komplecie zato zjawiły się delegacje niezliczonych stowarzyszeń, wszystkie wybitne działaczki, z których kilka w togach profesorskich i burmistrzowskich, przedstawiciele rządu i władz miejskich.

Pod kierunkiem Dame Ethel Smyth, doktorki muzyki, dawnej współpracownicy pani Pankhurst, odegrano słynny „Marsz kobiet“, skomponowany przez nią w więzieniu. Sześć olbrzymich megafonów rozniosło dźwięki muzyki i przemówienia, nadawane jednocześnie do radja.

Mowy wygłosiły najpierw lady Rhonda i mrs Drummond, następnie zabrał głos leader partji konserwatywnej Mr. Baldwin, charakteryzując postać zmarłej. „Każda kobieta musi w przyszłości czerpać natchnienie z przykładu tej bohaterkiej



Pomnik pierwszej sufrażystki.

niewiasty, której pomnik mam zaszczyt odsłonić i którą czcimy w tej chwili”, zakończył Baldwin swą przemowę.

W tej chwili opadły zasłony i charakterystyczna, tak dobrze znana postać, wspaniale odtworzona w rzeźbie znakomitego artysty A. G. Walkera, ukazała się oczom zebranych.

Sprawiedliwość dziejowa przyszła szybko. Prześladowana i więziona przed laty zaledwie dwudziestu sufrażystka, straszak „spokojnych” obywateli, spogląda dziś z wysokości marmurowego cokółu pomnika na pokolenie kobiet, którym prawa wywalczyła.

CZY ŚWIT W MROKU PRZESĄDÓW I UPRZEDZEN?

Magistrat miasta Królewskiej Huty w budżecie na rok 1930 uchwalił 11-cie stypendjów dla młodzieży z Król. Huty, studjującej na wyższych uczelniach, i 2 stypendja dla szkół zawodowych średnich. Z tego, dzięki inicjatywie i gorącemu poparciu p. prezydenta miasta W. Spaltensteina, zdecydowano się przyznać trzy stypendja w sumie 1500 zł., po 500 rocznie absolutkom Miejskiego Gimnazjum Żeńskiego i jedno stypendjum dla szkoły zawodowej obiecano także dziewczynce.

Cztery stypendja żeńskie na jedenaście, to mało, ale zarazem i wiele, bo to wyłom w staroświeckich poglądach panów radnych, to znaczy krok naprzód w kierunku przyznania i uznania praw do wyższego wykształcenia i pracy zawodowej narówni z mężczyzną kobiet śląskich, traktowanych po macoszemu przy obsadzaniu posad, wymierzaniu stopni służbowych i. co za tem idzie, uposażenia.

Oby szczęśliwie przeprowadzona uchwała o stypendjach była początkiem innego myślenia u wielu, wielu panów, dzier-

żących władzę, i u kobiet, znękanych upośledzeniem tak dalece, że nie ośmielają się walczyć o swoje prawa. Miejmy nadzieję, że posiadające uniwersyteckie wykształcenie i pracujące zawodowo ślązaczki nauczą swoich ojców oceniać należycie zawodową i społeczną pracę kobiet.

Może wtedy zniknie anormalne zjawisko, jakim jest niemoralna ustawa poprzedniego sejmiku śląskiego o celibacie nauczycielek i urzędniczek i ustanie wyręczanie się ofiarną pracą pań we wszystkich organizacjach, bez powierzania im jednak kierownictwa i odpowiedzialności, czy reprezentacji organizacyjnej.

Oby posłanki przyszłego sejmiku śląskiego i ich koledzy poszli w swej pracy drogą uchwalenia, czy przywrócenia kobiecie śląskiej praw do pracy, jakie mają jej siostry w całej Rzeczpospolitej Polskiej.

KSZTAŁCENIE KOBIET WIEJSKICH.

W d. 1 kwietnia b. r. rozpocznie się w uniwersytecie ludowym imienia Stefana Żeromskiego w Nałęczowie kurs dla młodzieży żeńskiej; nauka jest bezpłatna, za utrzymanie płaci się 50 zł. miesięcznie; kandydatki (od lat 18) przyjmowane są na zasadzie podań i zaświadczenia Kół młodzieży wiejskiej, lub innych stowarzyszeń. Adres: Uniw. Lud. im. St. Żeromskiego, Nałęczów, dom na Palubach.

W BOLSZEWI KOBIE TY SŁUŻĄ W ARMJI.

W armji sowieckiej kobiety biorą bardzo duży udział. Służą ich tam kilka tysięcy, w tem 72 oficerów. Przynależenie wojskowe kobiet obejmuje 200 tysięcy kobiet, kształconych na kursach taktycznych, 100 tys. na kursach gazowych, 54 tysiące na kursach strzeleckich i 4500 na kursach kawaleryjskich. Ossoawjachim zamierza wciągnąć 5 milionów kobiet do przysposobienia wojskowego.

AMERYKAŃSKIE SZERMIERKI.

Kluby sportowe kalifornijskie, zwłaszcza zaś „Athletic Club” z Los Angeles, przygotowują się energicznie do nadchodzącej Olimpiady, kładąc wielki nacisk na wyćwiczenie zespołów żeńskich. Załączona rycina przedstawia oddział szermierek, najlepsze klingi w assaut zbiorowym.



Atak i riposta.

„LATO PERKALI”

„...jedna z największych gałęzi przemysłu polskiego ciężko niedomaga. Mam tu na myśli przemysł włókienniczy, który sam jeden tylko winien zatrudnić 200.000 mężczyzn i kobiet. Gdyby jednak w przemyśle włókienniczym nastąpiło ożywienie, odbiłoby się to nader dodatnio na szeregu innych gałęzi przemysłu w Polsce. Przywrócenie tej równowagi leży w mocy kobiety polskiej. Niezwykle łagodna zima tegoroczna pozwala oczekiwać pięknej wiosny i upalnego lata. Dlaczego więc nie uczynić lata 1950 r. — latem perkali? Rzucona myśl, by polki zwróciły się ku materiałom bawełnianym na ubrania letnie, bynajmniej nie oznacza, by miały one na zawsze wyrzec się cienkich jedwabów i płócien, importowanych z zaprzyjaźnionych z Polską krajów; jest to jednak sprawą natury gospodarczej i przez wprowadzenie na rok 1950 mody na towary bawełniane, polskie kobiety przyczynią się tem samem do zatrudnienia tysięcy rodaków nietylko przy wytwarzaniu danych materiałów, lecz również przy wyrabianiu artykułów odzieżowych. Gdyby tylko każda polka kupiła jedną letnią sukienkę z materiału bawełnianego, z pewnością przemysł włókienniczy znalazłby się w pomyślnych warunkach. Kobiety polskie potrafią dodać uroku każdemu rodzajowi materiału, przez nie noszonemu, zaś znany patrijotyzm i gotowość służenia sprawie, niezawodnie i obecnie stoją równie wysoko, jak tylokrotnie w dziejach Polski. Gdyby prasa, kupiectwo i Liga Samowystarczalności Gospodarczej starały się ten projekt przeprowadzić — kobiety polskie z całą gotowością nie poskąpiłyby poparcia”.

Słowa te wyjęte są z referatu, wygłoszonego przez p. Charles Dewey'a, doradcy amerykańskiego w Polsce, wobec zaproszonych przedstawicieli prasy dnia 28 lutego b. r. Apel p. Dewey'a, skierowany do polek, nie powinien jednak ugrząść w sprawozdaniach dziennikarskich: trzeba, żeby koniecznie doszedł do adresata. Adresatem jest tu polski ogół kobiecy, któremu p. Dewey nie szczędził komplementów zarówno dwornych, jak i pobudzających do obywatelskich świadczeń.

Należy tu jednak w kilku zdaniach uprzytomnić kobietom polskim obecną sytuację, tak ciężką dla kraju. Więc ogólny zastój w naszym przemyśle, co pociąga za sobą bezrobocie; dalej, mimo urodzajów, bieda na wsi i w mieście, zacem idzie zmniejszenie się siły nabywczej i upadek handlu. Gdy jeszcze dodamy: szczupłe uposażenie urzędników i niepopłatność pracy umysłowej — obraz naszego ekonomicznego stanu potrafi wzbudzić zaniepokojenie.

Nie wystarczy jednak sama świadomość tego, że jest niedobrze. Nie wystarczy nawet ustalenie faktów i ich cyfrowe unaocznienie. Nie wystarczy również teoretyczny program poprawy powszechnych niedomagań. Bierność społeczeństwa, jego apatia, albo nawet zgryźliwy pesymizm — stają się gładem, nie dającym się ruszyć z miejsca, chyba, że jakieś niszczące huragany spełnią tę rolę, burząc jednocześnie wszystko aż do korzeni.

Nieporadność społeczeństwa bywa bowiem zazwyczaj zapowiedzią grożącego niebezpieczeństwa. I dlatego należy wczas ostrzec, wczas zmobilizować wszystkie czynniki i zobowiązać wszystkich do akcji zaradczej. Jeżeli więc p. Dewey zwraca się do kobiety polskiej z takim postulatem, to sędzę, że bez dyskusji, prosto bez namysłu, bez robienia jakiegokolwiek „kwestji” — trzeba pójść za tem wezwaniem znakomitego amerykańskiego finansisty i ekonomisty.

Sprawa jest przecież mała i nieuciążliwa. Na-

zywa się prawie uroczo, prawie poetycznie: *perkalowa sukienka*. Nie będziemy więc robić min męczenniczek, ani pozować na ofiarne obywatelki. Nie będziemy udawać, że tak wiele tracimy, że tak aż nadto wiele dajemy. Nie o gest tu chodzi, ale o rozumne orjentowanie się w sytuacji. Nie stoimy przecież — my, kobiety — na uboczu ogólnych spraw: wiemy dobrze, jak jest i wiemy, że nie wolno nam nie uczestniczyć w naprawie jakichkolwiek niedomagań naszego państwa.

Dziedzina stroju kobiecego, traktowana zawsze z pewnym humorem, jest jednak nietylko „naszym kaprysem”, jest także — przemysłem. Jako przemysł, bywa więc bogactwem kraju, jego eksportem. Bywa też zubożającym kraj nadmiernym importem. Tak więc strój kobiecy, poza swoim znaczeniem obyczajowym, poza jakąś swoją rolą moralną — ma jeszcze znaczenie inne, jako podstawa bytu i bogactwa państw.

Ta druga strona medalu, nie brana pod uwagę na codzień, zdaje się równoważyć niejedną ujemną cechę stroju, mody, a choćby i zbytku. Francja przecież przemysłem luksusowym podbiła wszystkie rynki świata, a mądry Colbert pragnął, by jedwab francuski zamieniał się w złoto. „Sami jedzcie własny chleb, ale własnym adamaszkiem ubierajcie obcych” — takie hasło, poparte polityką celną, uczyniło z Francji kraj przemysłowy, a z francuzów — bankierów świata.

Rolnicza Polska natomiast wywozi swój chleb, a sprowadza obce jedwabie. Któż to dziś nie nosi sukienki z krepedszynu? Już nawet niedemokratyczna moda dzisiejsza obmyśla jakieś inne materiały, żeby strojnisię mogły się wyróżnić i odróżnić od plebsu, odzianego w rozmaite jedwabiki. I dlatego, zanim nas zasugeruje Paryż jakimś nowym materiałem na letnie suknie, uniezależnijmy się — perkalem. Łatwiej będzie oprzeć się pokusom, gdy od razu ogłosimy postanowienie: Lato 1950 roku pod znakiem perkalu! Niech kupcy nie robią zamówień zagranicą, bo możemy być samowystarczalni. I doprawdy nie straci na tem szyk i uroda.

A zato:

ruszą fabryki,
200.000 ludzi stanie do pracy,
pieniądz zostanie w kraju,
wydamy mniej pieniędzy...

Sądzę zresztą, że argumenty są zbyt ciche, bo wystarczy nam jedno zdanie: musimy to zrobić!

Perkal, polski drukowany kretonik, twarzowy i estetyczny, sprzymierzony z barwą lata, z zielenią drzew, z kolorem morza, z powietrzem wsi, rozweselający kamienną szarość miast — staje się więc „à la mode”. Artyści robią wzory, chemicy barwią, ulepszają. Polski perkal idzie na obce rynki, polska perkalowa moda — podbija świat.

Jedno „perkalowe” lato mogłoby więc tak dużo zmienić, mogłoby stać się początkiem lepszych dni.

Byłoby więc wskazaniem, żeby nasze kobiety przyjęły nietylko z gotowością, ale z entuzjazmem projekt p. Dewey'a, żeby nietylko z łaski w jedną sukienkę perkalową zaopatrzyły się na lato, ale żeby to była gremjalna, ostentacyjna i demonstracyjna akcja. Wszystkie bez wyjątku ubierają się w perkale, z wykluczeniem letnich materiałów jedwabnych, sprowadzanych z zagranicy.

Przypomnę tu zresztą lata wojny, kiedy z powodu zamkniętych granic trzeba było zadawać szyku w zgrzebnem płótnie. Dziś musimy stoczyć wojnę z nędzą, bezrobociem, zastojem ekonomicznym. Precz więc ze snobizmem, który jest już nietylko śmieszny, ale i szkodliwy! Nie angielska wełna, ale bielska, nie francuski jedwab, ale łódzki perkalik. „Wyrób krajowy“, jak Kopciuszek wstydliwie ukrywający się za festonami zagranicznych towarów — zamieni się w królową naszej mody. Jest przecież prawdziwy sens w każdej bajce, jest przystosowalność bajkowej przenośni do pospolitego życia!

A więc — lato perkali! Bezapelacyjnie — radosne, kolorowe i tanie lato perkali!

Herminja Naglerowa.

MIESZKANIE NAJMNIJSZE

Wystawa „Mieszkanie Najmniejsze“, którą zwiedzaliśmy na Żoliborzu w czterech budynkach, oznaczonych literami A, B, C i D, rozpada się na trzy zasadnicze działy:

Budynek „A“ gromadzi plany architektów zagranicznych i architektów polskich; pomiędzy temi planami znajdują się i wyróżnione na konkursie Ministerstwa Robót Publicznych.

Budynek „B“ ześrodkowuje materiały budowlane, powołane do zastąpienia cegły i drzewa, a mające na celu uprzystępnienie kosztów budowy, usprawnienie jej i możliwie jak najdokładniejsze izolowanie mieszkańców od wpływów atmosferycznych i tak bardzo nieraz przykrych „odgłosów najbliższego sąsiedztwa“.

Budynki „C“ i „D“ — to szereg mieszkań jedno, dwu, trzy i cztero-pokojowych, o wnętrzach wykonanych i zastawionych sprzętami.

Wystawa „Mieszkanie Najmniejsze“ zapoczątkowana została przez Polskie Towarzystwo Reformy Mieszkaniowej łącznie ze Stowarzyszeniem „Praesens“ i Warszawską Spółdzielnią Mieszkaniową. Pierwszym krokiem na drodze realizacji tego projektu było zaproszenie Międzynarodowej Wystawy rzutów najmniejszego mieszkania, która odbywa wędrowkę po



Ogólny widok budynków spółdzielczych, w których mieściła się Wystawa „Mieszkanie najmniejsze“ na Żoliborzu.



Król działu meblowego — tapczan — spełnia idealnie swoje nowoczesne posłannictwo...

świecie. Do zagranicznych dorobków zostały przyłączone plany architektów polskich, które świadczą żywo o tym, że w sprawie starań nad możliwie najistotniejszym rozwiązaniem palącej kwestji małego mieszkania Polska nie pozostaje w tyle.

W związku z uznaniem konieczności udoskonalenia i uprzystępnienia kulturalnego mieszkania wszystkim obywatelom kraju, wysuwa się na pierwsze miejsce kwestja równie ważna, jak dobry plan: sprawa lekkich, wytrzymałych i tanich materiałów budowlanych. Kwestję tę oświetlają poniekąd ekspozyty, ześrodkowane w budynku „B“, które są wyrazem działalności polskiej w tej dziedzinie. Każdy z poszczególnych materiałów budowlanych przedstawia nietylko wstęp do nowej ery budowlanej, ale wiele realnych już i ujętych wartości.

Przechodząc do najbogatszego działu wnętrza, muszę powrócić do użytego powyżej wyrażenia, a tem samem usprawiedliwić jego brzmienie.

Jeżeli pozwoliłam sobie określić mieszkania umeblowane mianem „zastawionych meblami“, nie świadczy to bynajmniej, aby krytycyzm mój szukał ironicznego wyrazu. Przeciwnie: do Wystawy Mieszkań Najmniejszych każdy widz musi odnosić się życzliwie i z pełnem zainteresowaniem, co nie przeszkadza, że trudno nie odczuć zawodu na widok wnętrza, po których spodziewaliśmy się rozwiązania problemu jak najestetyczniejszego, najpraktyczniejszego i najprzystępniejszego urządzenia małego mieszkania, zarówno robotniczego, jak przeciętnego pracującego inteligenta, gdy tymczasem oczom naszym oglądać kazano rzeczy znane, banalne, pozbawione (z małemi wyjątkami) cech indywidualnych, artystycznych i praktycznych.

Uprzejme objaśnienia, jakich udzielono mi w Zarządzie, oświetlają kwestję z racjonalnej strony, albowiem, jak się dowiaduję, Wystawa Mieszkań Najmniejszych rozmyślnie zaprosiła panów-wystawców w ostatniej nieomal chwili, aby tem samem uniknąć nagromadzenia ekspozytów, specjalnie na Wystawę zaprojektowanych i wykonanych — takich, których brak jeszcze na rynku handlowym, a które grają jedynie rolę reprezentacyjną. Poczynanie to miało na celu pokazanie tego, co przemysł meblarski ma dzisiaj do rozporządzenia klienta i jak najplastyczniejsze zorientowanie się w brakach i niedoborach. Wyniki



Maleńka, śliczna kuchenka, bezpośrednio przylegająca do jadalni, ułatwia pani domu obejście się bez stałej usługi.

pouczają o tem, jak bardzo rozległe zadanie stoi jeszcze otworem zarówno przed twórczością projektodawców, jak i pracą wykonawczą fabryk i warsztatów meblarskich.

Patrząc na dane eksponaty pod powyższym kątem widzenia, musimy wyzbyć się wszelkiego krytycyzmu w stosunku do Wystawy, a przeciwnie, docenić rozumny i planowy sposób, w jaki została zorganizowana.

O królu działu meblowego — tapczanie — mówić nie trzeba: każdy powojenny mieszkaniec, gnieźdzący się na maleńkiej ilości metrów kwadratowych, nazywa go (i słusznie) swoim najwierniejszym przyjacielem — jest on bowiem tym, który w sposób prosty, łatwy i błyskawiczny rozwiązał problem zreformowania jednego pokoju mieszkalnego, lub niewielkiego, a zastawionego łózkami, mieszkanca; to też przewija się on przez wszystkie wnętrza, przybierając coraz to inne, ciekawsze, lżejsze i wygodniejsze kształty.

Ciekawe w pomysłach, praktyczne i nadwyróż estetyczne są urządzenia kuchenne firmy „Hermann Schütt“ (Pomorze). Kredens kuchenny, wykluczający wszelkie półki, szafeczki ściennie do ustawiania naczyń, które w ten sposób są narażone na stały kontakt z kurzem i pyłem węglowym, mieści w sobie liczne, niezbędne dla każdej kuchni naczynia i narzędzia, umieszczone zarówno na wewnętrznych stronach drzwi, jak i wewnątrz samego kredensu na licznych półkach i w zagłębieniach. Typ kredensu „Reforma Schütt“ mieści w swoim tajemniczym wnętrzu, poza wyżej wspomnianymi skarbami kuchennymi, małą lodówkę pokojową, tak niezbędną w każdym nowoczesnym gospodarstwie.

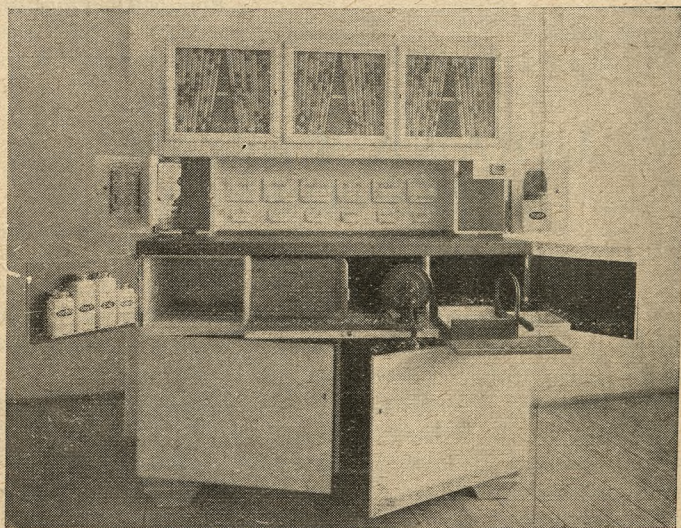
Praktycznie pomyślany stół do zmywania, pokryty białym linoleum, jest wyposażony w dwie białe waniutki emaljowane, ukryte w szafeczkach, otwierających się półobrotowo. Dół zmywaka — to półki, przeznaczone do pomieszczenia dodatkowych naczyń, lub narzędzi kuchennych.

W dziale mebli nie zdołałam zauważyć nic, co zasługiwałoby na podkreślenie z punktu widzenia pomysowości, przystosowanej do nowoczesnych wymagań, jakoteż i z punktu widzenia artystycznego. Spółdzielnia „Ład“, która dzięki eksponatom, z jakimi spotkaliśmy się na Powszechnej Wystawie Krajowej

w Poznaniu, uważaną jest ogólnie za pionierkę idei estetycznego i artystycznego wnętrza — zbagatelizowała, niestety, Wystawę Mieszkań Najmniejszych, negując jakoby potrzebę i poczucie piękna w szerokich warstwach społeczeństwa. Założenie i cel Wystawy na Żoliborzu był bowiem najidealniejszym terenem wykazania inicjatywy w kierunku stworzenia chociażby ryczałtowego typu umeblowania, które, odpowiadając wszelkim wymaganiom estetyki i praktyczności, stałoby się równocześnie dostępnym dla ludzi o budżecie skromnym i ograniczonym, wyzwalając ich tem samem z pod panowania przeciętnej tandety, tak chętnie dzisiaj dostarczanej na najdogodniejsze raty, a obniżającej poziom życia domowego.

W samym rozplanowaniu mieszkań najmniejszych widać wczucie się w potrzeby mieszkańców, którym projektodawcy starają się zapewnić maximum możliwych wygod, dbając przytem o zapewnienie każdemu z członków rodziny własnego łóżka, co nie wyklucza swobodnego poruszania się w szczupłych ścianach i wystarczającej ilości miejsca do pracy i wytchnienia. Idąc po tej linii, pokazują nam na Wystawie mieszkania jednopokojowe z kuchniami, w których znajdują się wnęki, zasuwane na dzień firankami, a przeznaczone na sypialnie. We wspomnianej wnęce widzimy dwa łóżka żelazne z siatkami sprężynowymi, zawieszzone na hakach, wbitych w ścianę, a umieszczone systemem, stosowanym w wagonach sypialnych, to znaczy — jedno nad drugim.

Doskonałe w pomysłach i rozplanowaniu są też mieszkanca jednopokojowe, składające się z przedpokoju, małej sypialni i dużego, doskonale oświetlonego pokoju mieszkalnego, w którego widnej wnęce mieści się kuchenka, zmywak, szafka w ścianie i półki do naczyń kuchennych. Sam pokój — z białym, nowoczesnym kredensem, takimże stołem, ławką i krzesłami stanowi równocześnie jadalnię i pokój do pracy oraz do odpoczynku. Obliczone na małą rodzinę, dysponującą szczupłymi środkami, a jednak niepozbawioną zamilowania wzorowego porządku i kulturalnych potrzeb, mieszkanca te w tym stanie, w jakim widzimy je na Wystawie, zdają się być cichem i ślicznym gniazdkiem; rzuca się tu jednak w oczy brak już nie pokoju kąpielowego.



Kredens „Reforma Schütt“ jest doskonałym wyrazem nowoczesnej gospodarki kuchennej.

który w takich warunkach musi być uważany za niedostępny luksus, ale poprostu wygodnej umywalni, o której zapomniano.

Na wyższych piętrach widzimy ten sam typ mieszkań bez kuchni, z wanną, umieszczoną we wnęce pokoju mieszkalnego — wanna jest zaopatrzona w przykrycie drewniane, umocowane na zawiasach, które można dowolnie podnosić, lub też użytkować jako stół kuchenny, na którym umieszcza się małą kuchenkę gazową. Począwszy od 1-ego piętra, mieszkania mają słoneczne balkony, a na każdym z nich umieszczono rodzaj lilipuciego ogródka, założonego w głębokiej skrzynce betonowej.

Pomimo, że Wystawa „Mieszkanie Najmniejsze” daleka jest od całkowitego rozwiązania problemu, któremu służy, musi być jednakże uważana za dowód zrozumienia potrzeb społeczeństwa, chęć zarządzenia najdotkliwszej z bolączek doby obecnej i ześrodkowanie wysiłku twórczego w walce o lepsze i jaśniejsze jutro. Z punktu widzenia propagandy, Wystawa na Żoliborzu zrobi bezsprzecznie więcej, niż lata nawoływania, przekonywania i perswazji: budzi ona bowiem w duszach tych, co tułają się „z kąta w kąt”, nigdy jutra niepewni i nieznający rozkoszy slania gniazda pod własnym dachem, promienne marzenie wywalczenia sobie, kosztem najdalej idących oszczędności, prawa posiadania własnego kąta, tak bardzo odbiegającego od stereotypowego mieszkania przeszłości, z oknami, wychodzącymi na swarliwe, duszne i „wonne” podwórko, i niewielkimi pokoikami, urządzonymi na wzór klasycznych graciarni.

Spółdzielnie mieszkaniowe o założeniu nietylko handlowem, ale i ideowym, dbałe o dobro udziałowców, działające sprawnie i sumiennie, mają przed sobą nietylko olbrzymie, ale i wiekopomne zadania: mogą i powinny stać się krzewicielkami kultury, zdrowia i radości życia. W zrozumianych na sposób współczesny ścianach — tych siedliskach powietrza, słońca i wolnej przestrzeni, niezatłoczonej zbędnymi przedmiotami i nie obwieszanej zakurzonemi tkaninami — łatwo o nową formę życia, podstawę zdrowia duchowego i fizycznego; to też każdy, kto zwiedził Wystawę na Żoliborzu, winien jest wdzięczność Komitetowi Organizacyjnemu i wszystkim, którzy współpracowali nad zrealizowaniem jego zamierzeń.

Wanda Dobrzańska.

UPRAWA WARZYW KORZENIOWYCH

BURACZKI ÓWIKŁOWE

Hodowla buraków ówikłowych u nas w kraju datuje się już od bardzo dawna. Zdaje się, że przywieźli je do Polski Cystersi w XII wieku.

W naszej literaturze rolniczej spotykamy opis tej rośliny przez jednego z pisarzy XVI wieku. Mówi on, że „ówikła” była w kilku zabarwieniach: czerwonym, żółtym i białym; dodaje też, że, siana w ogrodach, tem lepiej się udaje, im częściej jest przesadzana, i że „w gnojówce trza maczać korzenie przy przesadce, bo się w dostatku gnoju kocha”. Nazywa buraczki jarzyną „ubogich”, chociaż „przed innemi

ma przodek”. „Korzenie jej się piecze do jedzenia, potem zdejmują skórkę, a z pieprzu i chrzanu zaprawę do niej czynią. W Litwie razem z rzepą, cebulą i czosnkiem znajdują w niej smakowitość, a z łodyżek barszcz sponobią”.

Obecnie buraki ówikłowe są też podstawą naszych warzyw i może narówni z kapustą i ziemniakami stanowią pokarm najszerszych mas naszej ludności miejskiej i wiejskiej.

Warunki klimatyczne naszego kraju są zupełnie odpowiednie do uprawy buraków ówikłowych. Hodujemy je więc w ogrodzie we wszystkich wystawach i położeniach, a także w masowej produkcji polowej. Udają się na każdej ziemi, byleby była odpowiednio wilgotna i zasobna w pokarmy. Naturalnie, najlepiej odpowiadają im gleba tak zwana „buraczana”, to jest gleba, będąca w starej kulturze mechanicznej i nawozowej.

Pod buraki, tak jak zresztą i pod wszystkie warzywa korzeniowe, ziemia musi być zorana głęboko na jesieni — na wiosnę dajemy już tylko bronę i przed siewem gryf.

Uprawiamy buraki ówikłowe zasadniczo w drugim roku po nawozie, a więc w płodozmianie będą następować po ziemniakach, kapuście, kalafjorach, ogórkach, pomidorach i t. p. Udadzą się doskonale i na świeżym oborniku — plon będzie z jednostki przestrzeni nawet większy, ale pod względem jakości znacznie gorszy.

Rynek nasz wymaga buraczków średniej wielkości (średnia pomarańcza), intensywnie zabarwionych, a produkt, otrzymany z uprawy na świeżym oborniku, będzie miał zabarwienie słabe (białe prążki wewnątrz), buraki wyrosną zbyt duże i często popękane, tracą na smaku i znacznie gorzej się przechowują.

Tak samo przy stosowaniu nawozów pomocniczych musimy być bardzo oględni co do nawozów azotowych. Większe dawki saletry podnoszą coprawda plon, ale jakość jego obniży się tak samo, jak przy uprawie na świeżym oborniku. A przecież kosztem mniejszego plonu warto podnieść jego jakość. Najbardziej łakome są buraki na nawozy potasowe. W podręczniku Beckera o uprawie warzyw („Handbuch des Gesamten Gemüsebaues”) mamy podaną tabliczkę, która ilustruje nam ilości pobranych pokarmów przez buraki ówikłowe z 1 hektara (hektar = 100 arów), a mianowicie:

Zbiór z hektara w quintalach	1 hektara pobierają kilogramów		
	kwasu fosforo- wego	azotu	tlenku potasu
150—300 g. korzeni	10.5—21.0	28.5—57.0	48.5—97.0
50—100 g. liści	5.0—10.0	9.5—19.0	15.0—30.0
Razem	15.5—31.0	38.0—76.0	63.5—127.0

Tabliczka ta ułożona jest na podstawie analiz buraków ówikłowych i widzimy tu, jakie kolosalne ilości tlenu potasu wybierają buraki z ziemi. Chcąc więc mieć plon dobry i duży, trzeba im odpowiednio zasilić glebę.

Dlatego też radziłabym następujące dawki nawozów pomocniczych na 1 ar:

1) Azotowe — 0.25 kg. azotu = 1.6 kg. saletry chilijskiej, lub sztucznej chorzowskiej 15.6% (azotniak — patrz stosowanie przy opisie uprawy marchwi);

2) fosforowe — 0.50 kg. kwasu fosforowego = 3 kg. superfosfatu 17%;

3) potasowe — 1.2 kg. tlenku potasu = 3 kg. soli potasowej strasfurckiej 40%, lub 4.5 kg. soli potasowej kałuskiej 27%.

Siew buraków najwcześniejszych robimy, gdy tylko ziemia na wiosnę da się uprawić, a więc około połowy kwietnia; siał je można i później, do końca maja — buraczki jednak będą już drobniejsze. Właściwie siew zależny jest bardzo od zasobności gleby. Na ziemiach bogatych możemy siać później — to i tak do jesieni otrzymamy produkt pod względem jakości pierwszorządny. Na zbiór letni, naturalnie, siał trzeba jak najwcześniej.

W polowej uprawie lub w ogrodach na większej przestrzeni siał będziemy buraki w rzędkach, odległe co 40 cm.; siew wykonać możemy ręcznie lub maszynowo (siewnikiem wielorzędowym lub planetem).

Przy siewie ręcznym rzucamy kłębki buraczane co 1—2 cm. — jest to tak zwany „siew sznurowy“, albo kupkami co 15 cm., dając 3—4 kłębki.

Siew sznurowy jako równiejszy, jest lepszy i buraczki lepiej i prędzej wschodzą.

Na obsianie jednego ara potrzeba około 80—100 gr. kłębów buraczanych.

W ogródkach amatorskich na zagonkach, gdzie uprawa bywa zwykle ręczna, dajemy rzędkę co 30 cm. Gdy tylko zasiew wszędzie, przystępujemy do pielęgnacji bądź planetem, nastawionym jako opielacz, bądź motyczkami. Następnie oczyszczamy już same rzędy i jednocześnie przerywamy buraczki.

Przerywanie może być rozmaite, zależnie od celu hodowli. Buraki, siane wcześniej, przerywamy, pozostawiając w linii dość gęsto, co 4—5 cm., by potem w lecie wyrwać część na zużycie domowe lub na sprzedaż, pozostawiając już tylko te, które wykopimy na jesieni. Odległość nie powinna być większa, niż 8—10 cm. Rzadziej pozostawione buraczki rozrosłyby się zanadto i dałyby materiał handlowy znacznie gorszy.

Wyrwane w czasie pierwszej przerywki rośliny możemy użyć, jako sadzonki do obsadzenia grządki po sałacie, szpinaku, nieudanej kapuście i t. p. Buraczki przyjmują się bardzo dobrze, dają jednak rezultat mniej pewny, niż siane na miejscu. Używamy je też na tak zwaną „boćwinę“.

Praktykuje się również siew buraczków do inspektu około połowy marca; rozsada się je potem w kwietniu, lub na początku maja w grunt, by otrzymać buraczki najwcześniejsze. Jest to jednak dość kosztowny sposób uprawy (amatorski).

Ogrodnicy podwarszawscy sadzą też do inspektów drobne buraczki, przechowane przez zimę, i gdy te wypuszczą młode listki, wyrrywają je, wiążą w pęczki i sprzedają, jako „boćwinę“. Jest to sposób dobry, bo bardzo wcześnie możemy mieć barszczyk ze świeżych listków.

Zbiór jesienią wykonywamy przez wykopanie buraków. Oczyszczamy je z ziemi, nie obrywając korzonków. Liście usuwamy tak, by nie kaleczyć główki.

Zranione buraki tracą później na smaku przy gotowaniu.

Buraki liściowe, tak zwaną „boćwinę“, hodujemy na świeżym oborniku, gdyż chodzi tu o duże liście i wysokie, grube ich ogonki.

U nas w kraju tego rodzaju buraki mają małe zastosowanie — spotykamy je tylko w uprawie amatorskiej. We Francji hodują je masowo. Liście jedzą przygotowane, jak szpinak, lub dodają do szczawiu dla osłodzenia go.

Lodygi zaś, odgotowane, jak szparagi, dają „un légume agréable, rafraîchissant et d'un goût tout particulier“.

Zofja Wróblewska.

NOWALIJKI

(dokończenie)

Salata listkowa już od paru tygodni zdobi swą delikatną zielenią nie tylko wystawy sklepów gastronomicznych, lecz i stragany w halach. Jest, niestety, jeszcze bardzo droga. Do jej użycia chyba nikogo specjalnie zachęcać nie potrzebuję. Muszę tylko przypomnieć, że te delikatne listki nie powinny przy podaniu nic stracić ze swojej świeżości i kruchości. Czyli, że po opłókaniu (nie moczeniu) należy ją lekko otrząsnąć z wilgoci w trzymanej za cztery rogi serwetce, ułożyć na salaterce i dopiero w chwili podania leciuchno osolić, połać przyprawą, prędko wymięszać drewnianą lub kościaną łyżką i takimże widelcem i natychmiast podawać. Wszelkie ostrzejsze i bardziej skomplikowane przyprawy pozostawiamy dla salaty głowistej i sałat zimowych. Wiosenna sałatę zaprawiamy tylko najlepszą, młodą śmietaną, lub oliwą z dodatkiem soku cytrynowego.

Rzodkiewki okrągłe różowe, czerwone z białymi koniuszkami, lub białe, długie, do sopli lodu podobne, powinny oczywiście być przede wszystkim zjadane na surowo. Wie o tem każde dziecko i każdy człowiek dorosły, jak i o tem, że do nich należy podawać sól i świeże masło, przyczem najlepiej smakuje cienko krajany chlebek razowy.

Mniej jest znane stosowanie rzodkiewek, jako jarzyny gotowanej. Na wsi szczególnie, gdy ogrodnik duże ich ilości wyhoduje, a o zbyt na nie trudno, a zatem grozi im sparcienie, czyli zmarnowanie, można z nich robić wyborną jarzynkę, obierając je i dusząc w niedużej ilości wody z masłem, solą i odrobiną cukru. W taki sposób przyrządzone, smakują wybornie i dają pożądaną zawsze urozmaicenie.

Prawie jednocześnie z rzodkiewkami zjawiają się pęczki młodej karotki. Do nich należy stosować te same metody gotowania, co do szpinaku. Czyli, po oskrobaniu, kładziemy je wprost w wodę (w jaknajmniej ilość wody), dodajemy od razu kawałek masła, solimy lekko i gotujemy bardzo prędko, aby nie z ich smaku i wartości spożywczych nie stracić. Ponieważ tych karotek jest o wiele za mało na apetyt biesiadników, dobrze jest połączyć je z groszkiem, konserwowanym w puszkach lub Weck'ach.

Jedyną przyprawą do takiej jarzynki powinien być koperek zielony, a dodatkiem — wszelkie lekkie grzaneczki, przyrumienione na maśle, lub fleuroniki z francuskiego ciasta — naturalnie, o ile te jarzynki nie mają służyć tylko za garnitur do dań mięsnych.

Przed wojną, już w styczniu mieliśmy w sklepach ogórki cieplarniane. I teraz zjawiają się one przeważnie dosyć wcześnie. Niestety, są zwykle bardzo drogie, i co najsmutniejsze, ta drożyzna ich trwa długo, na przykład w roku ubiegłym aż do drugiej połowy czerwca. Przyczem — wstyd się do tego przyznać — te ogórki pochodziły przeważnie z Ukrainy, czyli z Bolszewji, gdzie ogrodnicy niemieccy i czescy potrafiały je wyhodować wcześniej i taniej, niż u nas. Miejmy nadzieję, że łagodna zima i słoneczne dni dadzą nam w tym roku możliwość korzystania z wczesnych ogórków krajowych.

W każdym razie należy przy użyciu ich wykorzystywać każdy, najdrobniejszy kawałeczek. Na przykład: jadłam wyborną salate, do której były dodane otarte na grubej tarce od buraków lupinki z inspektowych ogórków. Smakowało to wybornie i narazie nie mogłam zgadnąć, skąd ten smak i aromat ogórkowy, kiedy nie widzę plasterków samego ogórka. Następnie w drobniuchną kostkę pokrajany młody ogórek, dodany do sosu majonezowego, lub musztardowego, niesłychanie podnosi ich smak i szczególnie do ryby gotowanej na gorąco lub na zimno wybornie smakuje. A już chyba największym przysmakiem są ogórki inspektowe, solone naprędce z zielonym koperkiem i kawałkiem ostruganego chrzanu, który utrzymuje ich jędrność i kruchość.

Już to zielony koperk w wiosnę niczem się zastąpić nie da. Do karotki, do młodych kartofelków, do wszelkich sosów jest konieczny. Większy lub mniejszy jego pęczek, w słoiczku z codziennie zmieniającą wodą, powinien stać na oknie w każdej kuchni.

Pierwszą nowalją gruntową, zjawiającą się na naszych targach, jest rabarbarum. Jarzyna-owoc, do niedawna zupełnie prawie nieznaną, obecnie jest w powszechnym użyciu, stosowana głównie w kompotach, zastępując drogie i rzadko wiosną spotykane jabłka. Chcąc należycie ocenić wyborny smak rabarbarum, należy umiejętnie je kupować. Wszelkie ciemno-zielone, cienkie łodygi, są właściwie zielkiem o małej wartości. Tylko bardzo grube, blado-zielone u nasady ładnie zaróżowione pędy rabarbarum dają pierwszorzędną materjał na wszelkie przeroby.

Poza powszechnie znanymi kompotami — nie tylko wiosennymi, gdyż rabarbarum daje się wspinać konserwować w Weck'ach i zimą jeszcze lepiej, niż latem, smakuje — doskonałe są wszelkie ciastka francuskie i kruche, do których przekładania używamy surowych płatków rabarbarum, a nie gotowej marmelady. Taką marmeladę i konfitury możemy sobie usmażyć na zapas, gdyż i w tym roku jeszcze (boję się, że jeszcze przez lat wiele) nie będziemy mieli obfitości czereśni i gruszek, tych owoców, specjalnie na konserwy się nadających.

Chociaż rabarbarum wywalczyło sobie poważne stanowisko w cukiernictwie, to dotąd, jako jarzyna, jest mało znane. Tymczasem kawałki lodu (rozmiaru włoskiego orzecha), włożone na kwadrans, lub nawet dziesięć minut, do sosu przy duszącej się pieczeniu wołowej czy wieprzowej, dają wyborną, orzeźwiająca jarzynę. Należy tylko pilnować, aby się zabardzo nie rozgotowały i nie rozpadły przed podaniem, co wygląda nieapetycznie. Wyjąć je, gdy tylko zmiękną, i trzymać w cieple do chwili użycia.

Nakoniec zielone liście rabarbarum wybornie zastępują szczaw na zupę. Są nawet od niego delikat-

niejsze w smaku. Nie wszyscy jednak dobrze je znoszą. Na niektóre żołądki działają czyszcząco, jak korney rabarbarowy, środek dobrze znany w medycynie dziecięcej.

Młode kartofle, te najwcześniejsze, otrzymujemy przeważnie z Włoch. Przez długi transport tracą one dużo na smaku. Stają się jakieś łojowate, lub przedwcześnie mączyste. Ani w przybliżeniu nie są podobne do naszych krajowych kartofelków wprost z ziemi, lub do kartofli, wypędzonych w inspektach. Nawet bardzo się dziwię, że tych ostatnich w handlu prawie się nie spotyka. Hodowla ich jest nadzwyczaj łatwa i plon z jednego okna tak duży, że powinien lepiej się opłacać, niż rzodkiewka lub karotka. Istnieje kilka amerykańskich, wczesnych gatunków, które w sześć tygodni po posadzeniu już są gotowe do użycia. Przed wojną światową, zwykły wiejski ogrodnik, bez żadnych specjalnych wiadomości, zawsze miał całe kosze młodych kartofli na 19 marca.

Te kartofle przywożone należy gotować w bardzo dużej ilości wody i trzymać w tej wodzie aż do chwili podania, aby się nie stały mączyste, gdyż właśnie ta mączystość, stanowiąca największą zaletę dojrzałego, zimowego kartofla, jest największą wadą w młodym kartofelku. Klasycznym sposobem podawania młodego kartofla jest polanie go topionym masłem śmietankowym z zielonym koperkiem lub pietruszczką, pozatem jednak młode kartofle są cennym materjałem na różne wykwentne salatek wiosenne wraz z ogórkami, rzodkiewkami, szparagami i zieloną salate. Takie salatek-surowki, tak przez lekarzy zalecane, dają obszerne pole do popisu pomysłowemu gospodyniom.

Pozostaje mi tylko powiedzieć słów kilka o najpóźniejszej z nowalijek i najwykwintniejszej z nich — o szparagach. Z chwilą, gdy one przechodzą, kończy się sezon wiosenny, nastaje upalne lato, a z niem obfitość wszelkich jarzyn i zieleninek, które nie są już nowalijką, lecz podstawą letniego odżywiania.

Szparagi tylko wtedy są prawdziwie smaczne, jeżeli są spożyte bardzo prędko po wycięciu. Leżąc dłużej ponad dobę, stają się twarde, łykowate i gorzkawe. Tymczasem w dużych miastach właśnie jadamy zwykle szparagi w tydzień, lub więcej po ich zbiorze. Z podmiejskich ogrodów dochodzą one co prawda prędko, lecz hodowane na różnych odpadkach wielkomiejskich, stosowanych, jako nawóz, nie mają zbyt wykwentnego smaku i — na co muszę zwrócić szczególniejszą uwagę gospodyń, robiących zapasy zimowe — wcale się nie nadają na konserwę. Jeżeli chcemy robić szparagi w Weck'ach lub blaszankach, musimy dokładnie się poinformować o ich pochodzeniu i dniu wycięcia.

Ażeby szparag zachował cały swój smak i aromat, nie powinien być przegotowany: musi być tak jędrny, aby nie ustępował pod palcem. Przy gotowaniu należy dodawać do wody trochę cukru. Woda ta powinna być mocno osolona, aby nie wyciągała soków ze szparaga, nie wylugowywała go. Dodatek sody, stosowany przez wiele gospodyń i kucharek, jest zupełnie bezcelowy: włókniste części nie zmiękną, a cały szparag zwiotczeje i straci dużo na smaku. Twarde, włókniste części należy przy czyszczeniu usunąć, gdyż nic nie zdoła ich zrobić zdatnymi do jedzenia.

Nie starczy mi miejsca na podawanie potraw ze

szparagów — najczęściej są one jadane z masłem i bułeczką, lub z sosem holenderskim. Francuzi chętnie jadają je na zimno z oliwą i octem. Można je też surowe i drobniutko połupane dodawać do sałatek-surówek — smakują w nich wybornie. *Pani Elżbieta.*



SURÓWKA Z MARCHWI.

Pół kilo ładnej marchwi, bez żółtego środka (najlepiej brać zimową karotkę nantejską o wrzecionowatym kształcie i tępych końcu), utrzeć na grubej tarce do buraków. Na tejże tarce utrzeć dwa spore jabłka — renety lub antonówki — i dwa twarde, kiszone ogórki. Ucierając jarzyny na tej tarce, powinniśmy otrzymać drobne paski, równiejsze, niż przy krajaniu ręką zwykłym nożem. Nakoniec, średni korzonek chrzanu zestrugać na delikatne wiórki, jak do roastbeifu lub befsztyku. Wszystkie te jarzyny zmieszać razem, osolić, posypać łyżką cukru-pudru, polać kilku łyżkami oliwy i rosołem z ogórków. Wynieść na chłód na dwadzieścia cztery godziny. Przed podaniem dobrze wymieszać raz jeszcze.

Dla osób, będących na diecie odtłuszczającej, podać do tej surówki kartofle pieczone w łupinach. Dla osób zdrowych surówka ta może być użyta, jako salata do mięsa lub ryby.

BUDYŃ Z RYBY „MATELOTTE“.

Trzy ćwierci kilo ryby, już oczyszczonej z ości i skóry (może to być szczupak, sandacz, jakieś drobniejsze rybki, lub z ryb morskich dorsz-kabljan, jako najmniej mający specyficznego zapachu), przepuścić dwa razy przez maszynkę do mięsa wraz z trzema bułeczkami-warszawiankami, wymoczonymi w mleku, i dużą cebulą, przesmażoną z pięcioma deka masła. Masę tę przełożyć do miski i ucierać z czterema żółtkami, paroma łyżkami śmietany, solą, pieprzem białym, gałką muszkatową. Białka pozostałe ubić na sztywną pianę, wymieszać z resztą masy i natychmiast wszystko przełożyć do formy budyniowej, wysmarowanej masłem i wysypanej bułeczką. Zamknąć szczelnie pokrywkę i gotować w rondlu, napełnionym do połowy wrzącą wodą. Powinno się gotować około półtorej godziny.

Tymczasem przygotować sos pieczarkowy, biorąc nań około dwudziestu pięciu deka pieczarek, które należy obetrzeć na sucho, oplókać w zimnej wodzie, obrać ze skórek, pokrajać w paski i udusić w maśle. Skórki i nóżki zalać wodą i gotować na smak do sosu. Sporą łyżkę mąki zasmażyć w łyżce masła, rozprzewadzić smakiem ze skórek pieczarkowych, włożyć udużone pieczarki i kwaterkę dobrej, kwaśnej śmietany. Zagotować raz tylko, gdyż dłużej gotowane w sosie pieczarki twardnieją.

Zamiast śmietany można użyć dwóch do trzech żółtek, ubić je z paru łyżkami zimnej wody, wlać do sosu i ogrzewać, mieszając, aż sos zgęstnieje; uważać, aby się nie zagotował, gdyż żółtka się zwarzą.

Gotowy budyń wyłożyć na półmisek. W otwór po rurce włożyć kilka łyżek sosu z największą ilością pieczarek, resztę podać w sosierce. Na taki budyń można, w braku większej ryby, zużytkować różne małowartościowe płotki, jazie i t. p. Ości, głowy i ogony użyć na smak do zupy, lub częściowo dodać tego smaku do sosu pieczarkowego.

SZYNKA Z CIEŁĘCINY.

Dyszek z bardzo dużej ćwiartki, z odrąbaną w kolanie golonką, zamarynować w sposób następujący. Na cztery do pięciu kilo cielęciny (gdyż tylko z dużej sztuki warto przyrządzać szynkę) wziąć ćwierć kilo soli i łyżeczkę od kawy saletry. Uthuc grubo kilkanaście ziarn pieprzu i ziela, dwa goździki, parę listków, łyżeczkę od herbaty kolendru, zmieszać z solą i saletrą i mocno natrzeć tem cielęcinę ze wszystkich stron; włożyć w jakieś dobrze dopasowane naczynie, posypać resztą soli i przycisnąć deseczką i ciężarkiem. Trzymać w chłodnym, lecz nie za zimnym miejscu, codziennie przewracając szynkę, aby dobrze i równo się przesoliła. W chłodnej spiżarni powinna się solić tak około trzech tygodni, jeśli ją trzymamy w temperaturze pokojowej, wystarczy tydzień do dziesięciu dni. Można, po nasoleniu, posłać ją do wędzarni, aby lekko się obwędziła przez parę godzin, nie jest to jednak konieczne.

Przed użyciem namoczyć w zimnej wodzie na godzin parę, poczem ugotować, jak zwykłą szynkę, gotując jednak znacznie krócej od szynki wieprzowej. Jest nadzwyczaj delikatna w smaku i ma śliczny, blade-różowy kolor. Zamiast gotować, można taką szynkę naszpikować gęsto wędzoną słoninką i upiec, jak zwykłą pieczeń pod blachą, polewając z początku masłem, a pod koniec śmietaną. Do pieczenia należy ją dłużej wymoczyć, naprzykład przez noc całą. *Pani Elżbieta.*

DROBNE OGŁOSZENIA

W pięknej okolicy Karpat wschodnich (spokojna wieś, olbrzymie lasy, rzeka, piękne wycieczki), odstąpię na lato pokój z utrzymaniem 2 lub 3 osobom, ewentualnie do większego mieszkania wezmę na pensję całą rodzinę. Zgłoszenia w Redakcji pod: „Gorgany“.

Wielkopolanka ze sfery ziemiańskiej, energiczna, spokojnego usposobienia, kochająca pracę, znająca gospodarstwo rolne, hodowlę, jako też posiadająca doskonałą znajomość gospodarstwa kobiecego w każdym kierunku, poszukuje odpowiedniej posady. Wymagania skromne nie chodzi o wysoką gażę, tylko o dobre traktowanie, gdyż jest to osoba bez rodziny. Świadcztwa długoletnie, jako też rekomendacje osób poważanych.

Adres w Redakcji: „dla Kazimierzy“.

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17 zł. 40 gr., rocznie — 69 zł. 60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7 zł. 20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 259-40.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu“ — Warszawa, Plac Zamkowy 9.

Konto P. K. O. — Warszawa Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ“, Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 259-40.

Ekspedycja: ul. Górnośląska 19, tel. 244-75

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ“. Rymarska 8, tel. 244-18.

Nasza Mównica

Zagadnienie twórczej pracy.

Artykuł p. Strzeleckiej sprowadził teoretyczną dyskusję o pracy społecznej kobiet na tory realne. Jasne i szczerze wypowiedzenie się autorki wywołało cały szereg odpowiedzi i uzupełnień.

Praca społeczna, to praca twórcza, celowa i wydatna. Typ społecznicy w najdodatniejszym tego słowa znaczeniu określimy, jako osobę mającą pewien stopień wykształcenia ogólnego, radość i zapał do pracy (o czym w „Mównicy“ wypowiada się p. Benisławska), posiadającą dokładną znajomość ustroju państwowego, stosunków ekonomicznych i społecznych kraju, oraz znającą zasadnicze teorie społeczno-ekonomiczne.

Taki tylko typ uważam za zdolny do poważnej pracy społecznej, za mogący tworzyć organizacje i pociągnąć do pracy drugie osoby, wykazując pozytywne wyniki usiłowań.

Poza gronem tych typów wybranych społecznic, mamy i mieć będziemy zawsze olbrzymią masę kobiet, zamkniętych w ścianach domów rodzinnych, biur, szkół etc., kobiet, które w znacznej części trzeba „robić“ obywatelkami Polski.

Czuję, że to moje odezwanie się wywoła oburzenie, ale doprawdy bądźmy szczerze względem samych siebie. Czy każda z nas nie zna choć paru kobiet, dla których słowa: „masaż wibracyjny“ są wyrażeniem bardziej znanym, niż „ordynacja wyborcza“, które skład i funkcje „Trybunału Stanu“ wyobrażają sobie coś à la jury, wybierające miss Polonię? Smutne, ale prawdziwe! I takie pojęcia mają niejednokrotnie osoby, których warunki życiowe pozwalają na t. zw. doksztalcenie, a jednak na taki luksus się nie zdobędą... bo nie chcą.

Postaramy się o to, by każda organizacja kobieca zajęła się urządzeniem systematycznego kursu „Nauki o Polsce współczesnej“. Niechaj członkinie poznają ustawę konstytucyjną, a szczególnie jej artykuły końcowe: „Prawa i obowiązki obywatelskie“. Taka praca to rzecz pozytywna, to tworzenie jednostek uspołecznionych, to nauka obywatelskości.

Mam tę pewność, że głębokie przemyślenie zagadnienia praw i obowiązków obywatela będzie wielkim rachunkiem sumienia wielu dzisiejszych kobiet.

Od kobiety musi wyjść odrodzenie narodu. A jaka kobieta naród odrodzi? Czy chłopczyca, z lusterkiem i pomadką do ust? Czy kurka domowa, nie wychodząca myślami i pojęciami za obręb swego domu? Czy inne?

Naród wzmocnić, odrodzić, może tylko świadoma swych celów i przeznaczeń kobieta-obywatelka.

Typ tej nowoczesnej kobiety-polki zaczyna się już ustalać, ale trzeba zrozumieć, że przed tą kobietą olbrzymie pole działania się rozpościera. Do pracy musi stanąć armia kobiet całej Polski, szare pracownice i przewodniczki.

Zagadnienia pracy muszą być też podzielone na większe i mniejsze. Do największych należy bezwarunkowo wychowanie młodzieży, a tego nigdy nie może dokonać sama szkoła, tu musi działać dom, a przede wszystkim matka, rozumiejąc swe posłannictwo i rolę w społeczeństwie. A ilu prac małych, napozór szarych, może dokonać armia kobieca, uświa-

domiona i idąca po linii myśli państwowotwórczej. Trzeba np. w kraju naszym uregulować sprawę handlu nabiałem. Trzeba nam higienicznych mleczarni, wygodnej dostawy mleka do domów. Trzeba racjonalnych, czystych jatek rzeźnickich. Trzeba, aby rzeźnik był fachowo wykształcony i to w solidny, zawodowy sposób, bo inaczej nigdy nie ustanie oszustwo i partactwo przy sprzedaży mięsa, owe opłakiwane przez gospodynie „flaki i kości“. Do prac tych t zw. „mniejszych“ zaliczam też wielkie wołanie o czystość w sklepach i piekarniach. Musimy zwalczyć sprzedawanie towarów na rynkach miast, gdzie produkty leżą na ziemi w pyłe i błocie, obrazków tych dostarczają nawet takie miasta, jak Lwów, Kraków... a jak musi być w Łucku lub Kowlu??

Prac mnóstwo czeka, trzeba brać się do dzieła. Uważam, że łamy „Bluszczu“ powinny być tą areną, na której należy skonkretyzować plan twórczej pracy kobiet, i sądzę, że to nastąpi.

Ze swej strony podaję, że w każdym mieście mógłby powstać „Komitet kobiet-obywatelek“, jako instytucja nowa, gdy niema tam organizacyj kobiecych, lub jako instytucja, łącząca w sobie na danym terenie delegatki istniejących związków. „Komitety kobiet-obywatelek“ winny zorganizować kursy nauki o Polsce współczesnej, zbadać najważniejsze bolączki życia danej miejscowości i, zaczynając od prac małych, stwarzać czyn po czynie, cegielkę po cegielce kłaść pod budowę jaknajwspanialszego gmachu naszej Rzeczypospolitej.

I. Siemianowska.

Zieleń życia a szara teoria (w odpowiedzi potępiającym matki nieślubne).

Nie odzywałam się dotąd w dyskusji na temat ślubnych i nieślubnych matek, zainicjowanej przez redakcję „Bluszczu“; obecnie jednak zaczyna ona nabierać charakteru, dla mnie wprost niepokojącego. Coraz więcej odzywa się głosów potępienia tych nieszczęśliwych istot, które, prawem już zwyczajowem, uwalniają „od winy i kary“ przysięgli sędziowie (mężczyźni!), nawet wówczas, gdy wrogie okoliczności popchną je do zbrodni tak wstrząsającej, jak dzieciobójstwo...

A tymczasem niektóre z kobiet, i to kulturalnych, wypowiadają się publicznie w ten sposób, jakby sam fakt macierzyństwa bez sankcji prawnej uważały za hańbiące przestępstwo, i to popełniane „z premedytacją“!

Więc przedewszystkiem o tej premedytacji słów kilkoro:

Niezależnie od prądów pedagogicznych, panujących co do uświadamiania płciowego w klasie „inteligencji“, te dziewczęta, z których rekrutują się głównie nieślubne matki, od małego wiedziały doskonale, że nie bocian przynosi dzieci. Ale cóż z tego?

Niedarmo nazwano wzajemny pociąg płci „pułapką natury“, bo gdy on przychodzi do głosu, gdy wzbierze do siły namiętność, wówczas żadne z dwojga kochanków nie myśli prawie nigdy o owocach swego związku, lecz tylko o nim samym. Trzeba natury bardzo refleksyjnej, a zwłaszcza wysokiej już kultury, aby stać się wyjątkiem od tej reguły... jakże więc

możemy tego żądać od kobiet z ludu?! My patrzymy na tę sprawę obiektywnie (póki nie o nas idzie), ale też dlatego powinniśmy zdobyć się na wyrozumienie tego „stanu afektu”, w jakim działa „strona oskarżona”, a będąca przedmiotem naszych rozważań.

Miłość, czy pociąg zmysłowy? już to samo jest zbyt zawilim problemattem dla mózgu jakiegś Kasi, czy Marysi, lub miejskiej służącej. Ona wie tylko tyle, że się jej jakiś Wojtek „udał” niezmiernie, jak żaden inny, żeby mu nieba rada przychylić i że ją gorącość aż oblewa, jak na nią popatrzy, jak się przysunie...

Jest cudna noc, księżyc, czy gwiazdy, to na jedno wyjdzie, bo jego oczy jedyne i tak świecą mocniej, bliżej, przepalają nawskroś duszę, czy ciało? ej, kto tam dojdzie!! Dość, że dziewczyna sama nie wie, co się z nią dzieje, a wszystkie nauki moralne wylatują z głowy, jak puch, za tchnieniem tego szeptu zdyszanego:

— Jutro dam na zapowiedzi, jak się patrzy. Toć nie grzech przecie! Jabym cię to skrzywdził, mojaś-ty? Nie brońże się... chybam ci to niemiły?...

O Jezu! on jej niemiły?! i o ślubie myśli uczciwie... Przepada cały świat, wobec tkliwej mocy jego ramion, wobec słodyczy ust...

Tak, proszę pań, tak to w praktyce właśnie wygląda i nie trzeba zasłaniać oczu przed tym obrazkiem, bo „kto chce zrozumieć poetę, musi pójść do jego kraju”, koniecznie. Bez tego nie wolno ferować wyroków, ani dawać rad.

My już wiemy, że ten ognisty chłopak nie poprosi księdza o zapowiedzi, ani w tym tygodniu, ani w żadnym następnym i że niewiele wody upłynie, a on z inną zacznie chodzić, albo wyjedzie w świat, szukaj, jak wiatru w polu! Ale nasza Kasia w danej chwili wcale tego nie przeczuwa, ani jej w głowie „cywilna odwaga”, czy specjalny „krzyk za dzieckiem”, czy zuchwała przekora na złość całemu światu. Ją przepelnia oczekiwanie szczęścia i żywiołowa dumą, że to ona jest wybranką tego człowieka, w którym skoncentrowały się dla niej wszystkie uroki męskości, tak odwiecznie zębne dla naszych głupich serc...

Przypomina się stara rycerska piosenka, spopularyzowana przez Sienkiewicza:

„Jeśli pawię zbrojnego męża
Przed grotm nie obroni,
Mdlą białogłowa jakże się schowa
I gdzie się, biedna, schroni?!“

Tak to się zaczyna w rzeczywistości typowe nieślubne macierzyństwo, conajmniej w 75% wypadków. A reszta? mój Boże, różne bywają komplikacje, patologiczne nawet sploty stosunków i dziedziczności, spaczenia charakterów. Wśród tego wszystkiego najrzadziej chyba zdarza się, aby ktoś liczył chytrze na... alimenty, jako środek utrzymania. Mam wrażenie, że nie tak znów łatwo je uzyskać, ani też, uzyskawszy, dziecko z nich wychować...

Napróżno łamię sobie głowę, co miała na myśli p. Świeżyńska, pisząc, że obrona nieślubnej matki jest „nie przyznaniem matce praw macierzyństwa, lecz zwolnieniem ojca z obowiązków ojcostwa”. Jaki? jako? idzie właśnie o to, by nie zwałać całej odpowiedzialności na kobietę, by pociągnąć ojca w równej mierze do troszczenia się o dziecko, aby „pręgierz opinii” zmusił go do ochraniać życia, które spłodził. Tembardziej, że najczęściej właśnie on działa z rozmysłem, on oszukuje, on demoralizuje swą bezkarnością. Zwolnienie go z obowiązków, to jest właśnie potępienie kobiety!

Zresztą, dlaczego wogóle czujemy taką potrzebę potępienia?!...

„Monogamja jest jedyną formą życia płciowe-

go”, twierdzi kategorycznie p. Dzieciolowska. Dalby to Bóg, Szanowna Pani. Niestety, inaczej jest w ludzkiej naturze, czego najlepszym dowodem stale się powtarzające, we wszystkich choć trochę cywilizowanych społeczeństwach, potworne zjawisko prostytutki. Zmora, hańba, ohyda, ale jednak rzeczywistość, z której wnioski wyciągać musimy.

Otóż pierwszym, nieodpartym wnioskiem, podstawowym dla zwalczania, lub choćby zmniejszenia tego zła, jest powrócenie *szacunku* społeczeństwa matce nieślubnej. Dlaczego? Bo, odrzucona przez rodzinę, sponiewierana, doprowadzona do nędzy i rozpacz, nie „odprawi cicho swej pokuty”, jak tego oczekuje p. Dzieciolowska, tylko skręci kark noworodkowi i wrzuci go do kloaki, a sama pójdzie na ulicę, po zarobek jedyny już, jaki jej pozostał... Przecie to chyba oczywiste!

Nie dość jest dźwigać „kobiety upadłe”, przede wszystkim *nie róbmy ich*, bo to uczciwiej, i nawet ładniej...

Dać się uwieść i urodzić dziecko bez ojca, nie jest jeszcze upadkiem, choć naturalnie nie ma też nic wspólnego z zasługą (kto to kiedy wogóle mówił?!). Jest to przede wszystkim, samo przez się, *nieszczęściem*, do którego nie godzi się dodawać jeszcze pogardy.

Nie zapominajmy też, że nie można równo-uprawnić moralnie dziecka (chwała Bogu, zgadzamy się przynajmniej na punkcie jego bezwiny!), odsądzając od czci jego matkę, bo szacunek dla niej, to podwalina całego wychowania.

Nie zaprzeczam autentyczności wypadku, cytowanego w „Mównicy”, ale nie zdarzyło mi się jeszcze spotkać takiej baby, coby miała sześcioro dzieci, każde z kim innym, natomiast dużo znalazłam wiejskich nieślubnych matek jedynaków, kobiet troskliwych, pracowitych, śmiało rzec trzeba: *zanych*.

Rozumiem, że można ich czyn nazwać grzechem i wcale go nie myślę gloryfikować. Ale grzech każdy da się odkupić dobrymi czynami, a tembardziej ten, tak zrozumiały, bo płynący z pierwotnych głębin ludzkiej natury, nie odejmuje jeszcze prawa do szacunku.

Zaprawdę, dotknęłyśmy tu sprawy więcej zawikłanej, niż się pozornie wydaje, nie wikłajmyż jej do reszty przez doktrynerską ciasnotę sądów. Kto wie, jakby wypadło osądzić „kobietę bez skazy”, która tak łatwo, choćby pomyśleniem samem, spycha na dno przepaści tę drugą, słabszą, a może tylko mniej szczęśliwą?...

Mądre wyrozumienie różnorodności form życia powinno tylko utwierdzić świętość rodziny, tej najwyższej społecznie formy stosunków między mężczyzną a kobietą; zbezczaszczanie jakichkolwiek istot ludzkich w jej obronie nie jest ani potrzebne, ani celowe.

Zofja Zamiszanka.

Na froncie nędzy.

Przed kilkoma tygodniami w jednym z dzienników łódzkich ukazał się zastraszający swoim wykazem, rzekomo statystycznym, artykuł, omawiający sprawę wzrostu prostytutki w Łodzi. Autor lekkim piórem podał, widać dla zaokrąglenia, cyfrę 60% prostytutek wśród bezrobotnych kobiet.

Więc 60% kobiet w Łodzi, bezrobotnych, w czasie ciężkiego kryzysu ekonomicznego, zeszło, dla ratowania swojej egzystencji, na najcięższą drogę lekkiego chleba, skąd powrót do normalnego życia, jest niezmiernie trudny; zostawia niezatarte ślady krzywdy i upokorzenia! Sumienie kobiet uspołecznionych, czułych na poziom etyczny społeczeństwa, zostało tym artykułem głęboko wstrząśnięte.

Więc rozmowy na terenie Związków, więc docieranie do źródeł.

Jak jest naprawdę?

W rozmowach z panami, powracającymi ze spóźnionych posiedzeń czy konferencji, odezuwa się jednakże alarm: że przejść przez ulicę spokojnie nie można, że w śródmieściu, na odcinku Piotrkowska, Narutowicza, Andrzejka, Radwańska, o ile dawniej widywało się typy zdeklarowane, z piętnem rozpusty, to dziś stawiają pierwsze kroki nieśmiało i niezręcznie młode zupełnie dziewczynki, że żal bierze patrzeć i nie powiedzieć: „idź, dziecko, do domu”.

Tak, że widać wybitnie na terenie tak dużego miasta, jak Łódź, pewne weszanie tego rodzaju nędzy społecznej, ale żeby to było aż owe przerażające 60 %!?

Otóż, podług danych statystycznych, jest w Łodzi około 30 tysięcy kobiet bezrobotnych; jeżeli, dalej, zarejestrowanych prostytutek jest około 300-stu, pod obserwacją 550, to człowiek jeszcze śmie odetchnąć, że jednak społeczność kobieca naogół, na to najokrutniejsze upodlenie ciała i ducha nie zesła, że trwa, może zgrzytając zębami na niedolę bezrobocia, może coś uprosić, pójdzie na żebraczkę, ale nie handluje ciałem! Natomiast jest inna rubryka również przynębiająca: samobójstwa z powodu braku pracy.

Właśnie młode dziewczęta, lat 18—24, które nie znajdują w zrujnowanej kryzysem Łodzi świętego prawa pracy, zniszczone beznadziejnością, oddają się piawu śmierci.

Kto nie pracuje, ten nie ma prawa do życia, prosta logika tych zwarzonych życiem egzystencji.

Żeby to się nie zdarzało tak często, nietylko w prasie codziennej, ale to się dzieje i w moim domu i sąsiednim i na mojej ulicy i na najbliższej.

Wydaje się nawet, że więcej jest dziennie samobójstw z powodu braku pracy, niż ucieczki, z tej samej przyczyny, do prostytucji.

Jeszcze z drogi prostytucji, o ile była narzucona warunkami, kryzysem, słabszym wyrobieniem etycznym, można przy zmianie warunków wrócić, ale samobójczyń żaden wznowiony ruch w przemyśle nie ożywi. Młode pomocnice, opiekunki rodzin, już nie będą pociechą i podporą rodziców....

Jeżeli więc przyjmie się pod uwagę taki stan rzeczy, nasuwa się siłą faktów konieczność emigracji do Francji.

Wiadomo, że emigracja jest złem, ale jest złem mniejszym od dobrowolnej prostytucji czy samobójstwa.

Więc wobec zapotrzebowania większego kontyngentu dziewcząt do Francji, lepiej jest skierować siły miejskie, uświadomione, do prac w miastach przemysłowych francuskich, niż zatrzymywać w kraju w sytuacji bez wyjścia.

Bo że w fermach na wsi francuskiej, emigrantka polska ze wsi przechodzi gehennę poniewierki od wyzyskiwacza, często gwałciciela, fermera, to nas odstrasza. W dodatku opieka nad taką dziewczyną jest niemiernie utrudniona, ale w większych ośrodkach przemysłowych, przy zwiększonej odpowiednio ilości opiekunek społecznych, dałoby się umożliwić pracę tysiącom dziewcząt i kobiet, a tem samem wyrwać je z bezlitosnych objęć rozpaczy.

Argument, że na emigrantki polskie czyhają handlarze żywym towarem, jest na chwilę obecną za słaby, bo jeśli puścimy element miejski uświadomiony, pracowity, z gruntu uczciwy, a opiekunki społeczne będą umiały zastąpić im dom rodzinny i przypilnować praw pracujących, to dziewczyna taka będzie umiała wytrwać przy warsztacie pracy, a dla Polski zachować dobrą opinię.

Pola Płońska — Łódź.

Sztuka na wsi.

„Niema marnych placówek, ani obowiązków, są tylko marni ludzie”, powiedzieli w jednym mniej więcej czasie: wielki belg, Maurycy Maeterlinck, i Marja Rodziewiczówna.

Dla nas, szarych ludzi, rozrzuczonych po zapadłych wsiach i jałowych, bezbarwnych miasteczkach, słowa te mają ciężar i wartość platyny, a kolor najjaśniejszego promienia wiosennego słońca. Niema marnych obowiązków, wszystkie są wielkie, ważne, najważniejsze. Gdy opada zniechęcenie, gdy mniej lub więcej ciasne kółko własnego życia wydaje się kieratem, w którym depcze się monotennie, pozornie bez celu, trzeba przypomnieć sobie, że tryby tego kieratu transmisjami łączą się z wielką maszyną państwowo społeczną, a nasza praca stanowi jej integralną część, decyduje o sprawności. Niema marnych placówek, z najbardziej jałowego gruntu zrobić można ogród, jeśli wezmą się do tego chętne pracy i choć trochę umiejętnie ręce.

To, co piszę, nie potrzebuje komentarzy, powiedziane już było wielokrotnie, to też jest tylko wstępem do przykładu.

W najbliższym mem sąsiedztwie leży wieś Olszanica, większa od innych, zamożniejsza nieco, dwoma tartakami uprzemysłowiona. Życie jednak wsi płynęło jednotennie, urozmaicane tylko osobistymi przejściami mieszkańców i byłoby ciekło tak „bez końca”, gdyby nie znalazło się dwoje ludzi, którzy wnieśli w nie zmianę, ruch, pęd. Założyli nic wielkiego, teatr włościański, lecz jeśli kto zna choćby trochę włościanstwo, wie, czym jest dla niego teatr. Zaspakaja przedewszystkiem potrzebę sensacji, jest wydarzeniem, odrywa myśli od codziennych trosk, zmienia ich bieg, uczy, kształci. Znikąd tak łatwo, jak ze sceny, nie wejda, nie wsiąkną w duszę ideje. Zrozumieeli to dawno bolszewicy, stwarzając z teatru najlepszy środek propagandy.

Dzięki energii naczelnikostwa stacji, pp. Borowieckich, Olszanica ma swój teatr; grają w nim wszyscy bez różnicy narodowości (ludność jest mieszana polsko-ruska), grają gospodarze, robotnicy, a dziś, gdy tartaki stoją, bezrobotni. Zapominają o braku pracy, nędzy i zgryzocie, grają. Czy to nie imponujące?

Każda sztuka wystawiona jest bez zarzutu i, nie śmiejąc się, czytelniczki „Bluszczu”, stylowo. Żaden najdrobniejszy szczegół dekoracji, czy kostjumu, nie jest pominięty, „zbyty”, ale skrupulatnie obmyślony. Nie mówi się: „Nie warto, bo to dla włościanstwa”, lecz twierdzi się: „Musi być, bo to dla włościanstwa”.

A repertuar? Naturalnie, „Jasełka”, ale jakie?... „Prawdziwi” żołnierze rzymscy, i prawdziwe orły Romy, i kapłani żydowscy w klasycznych strojach, i Trzej Królowie, jakby dopiero co przyjechali ze Wschodu. Jasełka śpiewane, jak opera, orkiestra własna, artyści grają bez nut, ale nie fałszywie. Jeden zaś ze skrzypków, człowiek trzydziestoparoletni, zaczął uczyć się czytać nuty. Dalej: „Więzień z Magdeburga”, „Błażek opętany”, „Ciotka na wydaniu” i Fredro, sam wielki Fredro, który nie śnił nawet, wracając z ojcem od pana Urbańskiego w Jabłonkach i Orzechowskiego w Żarniczce, że w Olszanic, którą miał, na miejscu, na którym spoczęły może jego oczy dziecięce, stanie Strażnica, gdzie włościanie grać będą jego komedje z zachowaniem stylu epoki, pełni rozbudzonego entuzjazmu dla sztuki i radości, jaką ona daje. A teraz proszę powiedzieć, czy praca społeczna nie jest potrzebna? Chodzi tylko o to, kto i jak ją wykonuje, ale gdzie jest ziarno — uszają być i plewy. Plewy wiatr rozdmucha, ziarno zostanie. *M. Czer.*